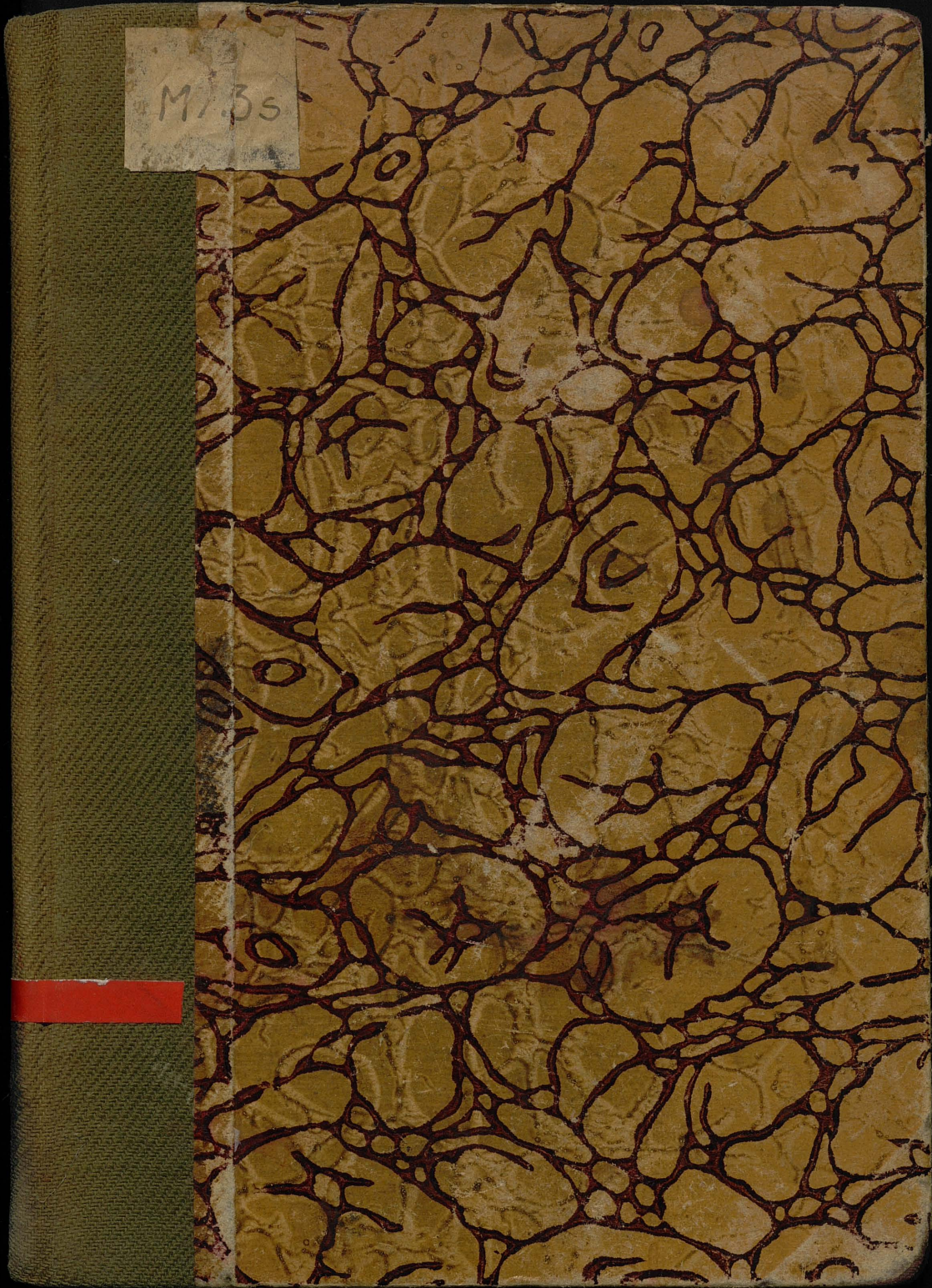


M/35





ROMUALD MINKIEWICZ

TRYUMF

SCHERZO

W CZTERECH AKTACH



SKŁAD GŁÓWNY
KSIĘGARNIE GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN —
ŁÓDŹ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE.

M735

lp

ROMUALD MINKIEWICZ

SZCZYTY A PADÓŁ

TRYPTYCH DRAMATYCZNY:

19034



I
(skrzydło lewe):

NIM SŁOŃCE WZEJDZIE
DRAMAT

II
(trzon):
SERCANA
TRAGEDJA



III
(skrzydło prawe)
TRYUMF
SCHERZO



OSOBY:

BOGDAN OGNISKI.

MARJA, żona jego.

BRONISŁAW, brat Marji.

KOZIOŁKIEWICZ, krytyk naczelny.

PROFESOR DR. DŁUBALSKI, ceniony historyk literatury.

RZYCKI, powszechnie czczony Nestor pisarzy polskich.

MIERNOCKI, najpoczytniejszy powieściopisarz.

BAZGRALSKI, recenzent teatralny i lubiany komedjopisarz.

BARON SCHAFFENDORF, sławny powieściopisarz.

PROSIKIEWICZ, redaktor pism wielu, więc i arbiter wielu konkursów.

GŁUPOWIŃSKI, rymotwórca i redaktor miesięcznika literackiego p. t. „Echa piramid”.

RENTOWICZ, kierownik postępowej gazety.

DRUMLA, taki swojski, nasz kochany poeta.

WSTRETNER) księgarze - wydawcy, właściciele firm
OKPISZ) my.

CZYSTOPOLSKI, patentowany wydawca Młodych.

TURCUŃ, dziennikarz en chef.

GUZIK, reporter.

884-2

S

9281

Biblioteka Publiczna

Białymstoku

W. J. 222.4.45

AKT I

ZMOWA.

Surtout, pas de génie!

Villiers de l'Isle-Adam.

— Więc stąd pewien niepokój przypada na mrówki:
Jakto, skądto, skąd rodem, gdzie pasport, gdzie wiza?

St. Wyspiański.

KOZIOŁKIEWICZ. — Zaprosiłem panów nieco wcześniej, sprawa bowiem jest tak wielkiej wagi, że nie zdecydowałbym się wnieść ją na zebranie dzisiejsze bez uprzedniego porozumienia się z wami.

GŁOSY. — Dziękujemy...

— Dziękujemy!

— Oczywiście!

KOZIOŁKIEWICZ. — Rad jestem, żeście stawili się panowie punktualnie wszyscy... (powiódł okiem) do diabła! a gdzież Dłubalski?

TURCUŃ. — No, ten jak zawsze! swoją akademicką godzinkę (wycedził).

KOZIOŁKIEWICZ. — A niech go piorun trzaśnie! nie mamy chwili do stracenia: zaraz nadejdą.

BARON SCHAFFENDORF. — Czyż bez niego nie możesz?

KOZIOŁKIEWICZ. — Ba! obawiam się właśnie, by nie brózdził z tą swoją uczciwością manjaka.

BARON SCHAFFENDORF. — (niecierpliwie) Ah! bête que celui-là!

PROSIKIEWICZ. — (z uśmiechem) Pocziwiec!

DRUMLA. — (z widoczną złością) Ciemiega!

KOZIOŁKIEWICZ. — (spojrzawszy na zegarek) No, nie mam więcej czasu na czekanie!

GŁOSY. — Nie czekajmy.

— Zaczynaj!

KOZIOŁKIEWICZ. — Djabli wiedzą (zastanawia się), może to i lepiej, że niema tego... bałwana! przepraszam, profesora.

DRUMLA. — To jedno.

MIERNOCKI. — No, no, proszę cię!

TURCUŃ. — (ściąga lekceważąco ramionami) En famille?

GUZIK. — (nieśmiało) Samiśmy swoi...

(Zmierzą go górnym spojrzeniem Miernocki, Drumla i Bazgralski).

(Rzycki wciąż jeszcze, nieskończenie już długo przeciera chustką okulary).

KOZIOŁKIEWICZ. — Tak, to lepiej, lepiej.

RZYCKI. — A widzisz, kochany! i tu nawet, tego ten, palec Opatrzności.

KOZIOŁKIEWICZ. — Lepiej, lepiej! pójdzie z nami w dobrej wierze.

WSZYSCY. — Ale co jest?

— Co takiego?

— Co się stało?

RZYCKI. — Mówże wreszcie, panie tego.

PROSIKIEWICZ. — Zaczynaj!

(Koziołekiewicz przybrał uroczystą minę, wysunął szufladkę biurka, wyjął dwa duże rękopisy i, wzniosłszy je w górę, zawołał głosem anonsującym nieszczęście):

KOZIOŁKIEWICZ. — Panowie! genjusz!!

(Jakby trząsł piorun w zebranych, stanęli rażeni).

MIERNOCKI } Genjusz?! (jęknęli zgodnie).

DRUMLA } Znowu?... Znowu? (szepłali zwiesiwszy głowy).

BAZGRALSKI }

RZYCKI (patrzac z poza złotych okularów niedowierzające na Koziołekiewicza, z uśmiechem pobłażliwym):

— Już, tego, genjusz?...

KOZIOŁKIEWICZ. — Niestety! tak jest. Nagle, niespodziewanie, nieprzewidzianie, jak piorun z jasnego nieba. Tu oto (potrząsał z grozą rękopisami) — treść, forma, obrazy, muzyka wiersza, myśl wielka, zawrotny lot... wszystko! wszystko nowe, niespodziewane, nawskroś oryginalne, nazbyt potężne!... Niestety! genialne...

DRUMLA

BAZGRALSKI } — Genjalne?! (wtórzyli żalosnym echem).

MIERNOCKI }

RZYCKI. — (z uśmiechem). Hm!... coś pewnie, jak tamten tego ten, Wyspiański?... che, che, che... (podkpiwał dobrodusznie staruszek) też genialny, che, che, che...

KOZIOŁKIEWICZ. — Niema dziś, ojcie kochany, czasu na spory! Mówię: niebezpieczeństwo wielkie grozi wam wszystkim.

GŁOSY. — Cóż będzie?

— Cóż będzie?

DRUMLA. — Co z nami będzie? (biadał najgłośniej).

MIERNOCKI } — Z nami? (oburza się) a to dobre! Z

BAZGRALSKI } tobą chyba, kochany wieszcu! My, chwalić Boga, na lutni nie gramy.

KOZIOŁKIEWICZ. — Na miłość Boską, nie czas na spory! wszystkim, mówię. Wspomniał ktoś Wyspiańskiego? tu gorzej, stokroć gorzej. Wszystkim grozi.

RZYCKI. — (z uśmiechem) Przepraszam cię, kochany!... wyłączysz chyba, tego ten, moje gawędy, tego, etyczne?

BARON SCHAFFENDORF. — No! i moje powieści, n'est ce pas? (wycedził).

BAZGRALSKI. — Proszę także o mój teatr!

KOZIOŁKIEWICZ. — Wszystkim! mówię. A skoro mówię, to wiem, co mówię! Oto corpus delicti; tu tom poezji, tu dramat. Są także rzeczy krytyczne, wiem. Napewno są szkice etyczne; powieść przypuszczalnie, — a kto wie, czy niema satyry...

BARON SCHAFFENDORF. — Pas possible! Na wszystkich polach?

GŁOSY. — Co z nami będzie?

— Co będzie?

— Co będzie?

DRUMLA. — Ledwieśmy od tamtego odetchnęli...

BAZGRALSKI. — Ledwieśmy odsapnęli od tego Wy-
spiańskiego, a już znowu!

GŁOSY. — Co począć?

— Co począć?

KOZIOŁKIEWICZ. — O to właśnie idzie.

RZYCKI. — Ach, ta, panie tego, nieszczęśliwa głupota
ludzka: ciągle daj coś nowego! coś lepszego! che,
che... jakby najlepsze, tego ten, nie to, co już było?...
tego, Mickiewicz?

PROSIKIEWICZ. — Nie to, co jest? (poprawi godnie).

KOZIOŁKIEWICZ. — Nie wiem, moi drodzy, co tam
dla kogo najlepsze, ale wiem, że grozi najgorsze...
bo wiem, o czym i o kim mówię.

WSZYSCY. — O kimże?

— O kim?

KOZIOŁKIEWICZ. — O Bogdanie Ogniskim!

WSZYSCY — (jak zasugerowani)

— O Bogdanie Ogniskim?!

BARON SCHAFFENDORF. — (z lekceważeniem)

— Connais pas!

RZYCKI. — (wysiłając pamięć)

Ogniski?... Ogniski?... jakoś, panie tego, nie słysza-
łem. Ogniski, mówisz?

KOZIOŁKIEWICZ. — Tak, ojcie! tak się nazywa ten
nowator.

RZYCKI. — Nowator? (poruszył się wreszcie staruszek).
To źle, panie tego, to źle... Nowator? hm!

DRUMLA. — Przewrotowiec?! (rzucił półpytając a pra-
wie z przekonaniem).

KOZIOŁKIEWICZ. — Rozumie się! jak genjusz.

MIERNOCKI } — Genjusz! genjusz! (szeptali żałośnie
BAZGRALSKI } i zawistnie, za każdym razem hypnotyzowa-
ni tym dźwiękiem).

RZYCKI. — Co mówisz? przewrotowiec? (niepokoił się
już na dobre).

PROSIKIEWICZ. — Oczywiście! wolnomyśliciel.
(stwierdził, jak zawsze, tonem pogodnej pewności siebie).

RZYCKI. — (krzycząc prawie). Co? ateusz?

KOZIOŁKIEWICZ. — Przypuszczalnie!... tak, nape-
wno... przynajmniej, odważa się mierzyć z Bogiem—
Stwórcą! Mówi, słuchajcie! o sobie: „ja jutro Bóg!..
ogrom światów moich wstał!.. no, i tak dalej.

GŁOSY. — Słyszycie?

— Słyszycie?

RZYCKI. — (jęcząc). Bluźnierca!.. Tego, panie, wstydu
niema!...

BARON SCHAFFENDORF. — (milczący dotąd, wybuch-
nie). A to bezczelne! Ten pahwenjusz—(baron nie wy-
mawiał r) ten, ten... niewiedomo kto — genjuszem?
Enfin, c'est trop!

RZYCKI. — Ateusz??... skaranie Boskie! (biadał) za-
wsze, tego mówiłem... zawsze mówiłem... za mało-
śmy, panie tego, strzegli młodzień, tego... Co po-
cząć? co począć?

GŁOSY. — Co począć?

— Co począć? (pytają zewsząd, na wszystkie tony, w
beznadziei nie czekając odpowiedzi).

(Odezwie się wreszcie)

KOZIOŁKIEWICZ. — Potem was dziś zwołał. Rada
jedyna: utracić! Nie dopuścić do głosu! Absolutnie!
zupełnie!

GŁOSY. — To, to, to.

— Ale jak?

— Jak?

KOZIOŁKIEWICZ. — Bardzo prosto: zbojkotować!! na
całej linii! rozumiecie? recenzenci? kierownicy

pism? teatrów? firm wydawniczych? no? (obwodził ostrym wzrokiem wszystkich kolejno).

PROSIAKIEWICZ. — Co do mnie, bądź pewny (odrzekł solidnie redaktor pism wielu, a wydawało się, jakby odrzekł nie za siebie tylko, bowiem reszta przyjęła to milczeniem, tylko baron wybuchnął nagle głośną aprobatą).

BARON SCHAFFENDORF. — Bhawo! bhavissimo! (wołał, klaszcząc w dłonie) Pyszna myśl! Ghatuluję ci dowcipu! Ten pahwenjusz! ja go nauczę!...

RZYCKI. — Ateusz genjuszem!? (Nie mógł się z tem jeszcze pogodzić). Koniec świata... A mówiłem, tego ten, strzec pilnie...

KOZIOŁKIEWICZ. — Więc zgoda? (pytał, już pewny swego).

WSZYSCY. — Zgoda!

— Zgoda!

— Zgoda!

— Rozumie się!

— Oczywiście!

— Naturalnie!

KOZIOŁKIEWICZ. — Dobrze. Liczyłem na was. Zaprosiłem właśnie kilku ważniejszych redaktorów i wydawców w tej sprawie wyłącznie. Musicie ich przekonać. Rozumiecie? decyzja musi być jednogłosna. Na wasz głos i spryt w dyskusji liczę.

WSZYSCY. — Oczywiście!

— Oczywiście!

DRUMLA. — (z niepokojem) Czy tylko się uda?

PROSIAKIEWICZ. — (pouczająco). Musi się udać, skoro my chcemy.

BARON SCHAFFENDORF. — Hozumie się!

(Dał się słyszeć dzwonek, raz i drugi).

KOZIOŁKIEWICZ. — Pamiętajcie! od was samych zależy. Teraz cyt! (mówił już we drzwiach, spiesząc powitać gości).

BARON SCHAFFENDORF. — Dzielny nasz Koziołek! (mówił półgłosem, zacierając dłonie). Co za présence d'esprit!

TURCUN. — Czujny!

PROSIAKIEWICZ. — Przezorny!

MIERNOCKI. — (ze szczerem zachwytem) Już ten to ma głowę!

DRUMLA. — Pewna że nie taką, jak... (drwił niedwuznacznie, z odnośnem spojrzeniem).

MIERNOCKI. — (rzucił się) Jak kto?

PROSIAKIEWICZ. — Nie wadźcie się, mistrze! (strofował).

BARON SCHAFFENDORF. — (śmiejąc się) O ihhitabile genus!

(Drzwi się otwarły i weszli kolejno księgarze: Wstrętner, Okpisz; za nimi Głupowiński, redaktor „Echa piramid”; wreszcie Rentowicz z patentowanym wydawcą młodych Czystopolskim).

GŁOSY. — A! pan baron!

— Witam pana barona!

— Uszanowanie panu baronowi!

— Miło mi z panem baronem...

— Ależ, panie baronie!

— Właśnie o panu baronie! (wybijało się co chwila, ponad szmer i gwar powitalny, niby uczniowska, zupełnie zresztą poprawna deklinacja tak wysoce uszom miłego rzeczownika).

RENTOWICZ. — (grający „europejczyka”) Pi! pi! Cała nasza haute volée.

BARON SCHAFFENDORF. — Tylko volaille, łaskawco! tylko volaille! (drwił wśród ogólnego śmiechu).

BAZGRALSKI. — (notuje dowcip w kajeciku).

WSTRĘTNER) — Jakże zdrowieczko czcigodnego OKPISZ) Nestora? (pytali uprzejmie starszka).

RZYCKI. — Chwalić Boga, jeszcze, jeszcze!... oczy, pa-

nie tego, słabną, ale... che, che... ręka jeszcze oręż,
tego, dźwiga!...

GLUPOWIŃSKI. — Oby jaknajdłużej, nauczycielu!
(westchnął nadskakując i z nabożeństwem).

(Wśród żartów i rozmowy swobodnej napozór, raz po raz
konspiranci pojrzą ku drzwiom niecierpliwie, oglądając
się za opóźniającym się jeszcze profesorem Dłubalskim).
(Formują się tymczasem luźne grupki).

OKPISZ. — Drumla! mistrzuniu! (wołał, nie tając głosu).
Dzielnyś napisał wiersz o tej falbance!... paluszki,
mówię ci, lizać!... Kończże ten zbiorek czempredzej!
(Poeta skromną robi minę, rzucając ukośnie spojrzenia
tryumfujące w stronę Miernockiego).
(W tym czasie)

BAZGRALSKI. — (do Głupowińskiego) Oho, redaktorku!
lepiej ci, widzę, idzie na miesięczniku, jak na wierszykach...
Sadzisz już pono kapustę w tych Masłowicach? (Wesołość).

BAZGRALSKI. — Powiedz! nabyłeś je naprawdę?

GLUPOWIŃSKI. — Jak mego ananasa kocham, za pożyczone pieniądze!! Ale bo nie wiesz, jak ja tęsknię
za trawką, zielenią, laskiem...

DRUMLA. — (podchwytuje, odbijając rytm) Cielęcinką,
Krówką,
Świnką!

PROSIAKIEWICZ. — (znaczaco) Dziewczynką...

BARON SCHAFFENDORF. — (chichocząc) I mhówką!..
cha, cha, cha, i mhówką.

PROSIAKIEWICZ. — (zbywszy powagi redaktora pism
wielu) Cha, cha, cha, i „mrówką“, a to dobre... zupełnie
jak w Panu Tadeuszu!..
(Miernocki ukradkiem notuje).

(Nie uszło to uwagi wiecznego antagonisty).

DRUMLA. — (palcem go pokazując) Pisz, pisz! Będzie
powieść z wierszykiem! rzecz prosta, oryginalnym!

MIERNOCKI. — Głupiś!

RZYCKI. — (z westchnieniem pobłażliwym) Zawsze w was
ta krew, tego ten, szlachecka!
(Dziennikarz notuje demonstracyjnie „złotą myśl“ Nesto-
ra).

(Schaffendorf i Drumla raz wraz pozierają na zegarek, to
znów na wchodzącego Koziółkiewicza).

(Nie wytrzyma wreszcie baron)

BARON SCHAFFENDORF. — Może już? (zagadnie Ko-
ziółkiewicza).

KOZIÓLKIEWICZ. — (z udaną obojętnością) Jeszcze
Dłubalskiego niema.

BARON SCHAFFENDORF. — A! (wykona gest urwany,
gdy Drumla zapomniawszy się, zawoła)

DRUMLA. — Niech go diabli!

RENTOWICZ. — Czy coś tak pilnego? (zagadnie z od-
cieniem lekko ironicznego podejrzania).

DRUMLA. — (złapany) Nie... tak... niby... mnie (jąkał).
(Wybawił go dźwięk dzwonka silny. Ktoś w przedpokoju
głośno mówił, po chwili zaś wszedł spóźniony).

KOZIÓLKIEWICZ. — Otóż i profesor!

BARON SCHAFFENDORF. — Naheszcie! (ukłął, dobija-
jąc ostrzem wzroku).

GŁOSY. — A! a-a!

—A!

PROF. DŁUBALSKI. — Spóźniłem się? (dziwił się, ści-
skając serdecznie, zbyt wylanie, podawane dłonie) spó-
źniłem się? (wyjął zegarek) Darują kochani koledzy.
(przeproszał, trzęsąc dłonią reportera).

BAZGRALSKI. — (szeptem) Żebyś skisł!

(Uściskał wreszcie wszystkich profesor, zapomniał jeno, w
w rozłargnieniu o zacnym Nestorze, który właśnie po-
wstał był z wyciągniętą ręką, i tak, zapomniany, stał
czekając).

PROF. DŁUBALSKI. — Darujcie, kochani! ale właśnie
przed chwilą... niesłychane odkrycie! (już się zapalał)
Zdołałem wykryć, w jakiej...

KOZIOŁKIEWICZ. — (kończąc zań głośno i pompatycznie)
W jakiej barwy rękawiczkach zwykł był tańczyć
Słowacki w Szwajcarii!
(Zagrzmiały ze wszech stron salwy śmiechu na rozmaite
tony).

PROF. DŁUBALSKI. — (w osłupieniu) Już wiesz?

BARON SCHAFFENDORF. — Tiens, tiens! a to —
che, che, che! w istocie, powinszować! (drwił).

PROF. DŁUBALSKI. — Skąd wiesz? skąd? (chwycił za
rękaw Koziołkiewicza).

KOZIOŁKIEWICZ. — Przecieżeś wpadł, krzycząc na
cały głos!
(Śmiech).

(Baron zżyma ramionami).

(Spostrzegł powszechną wesołość zacny historyk litera-
tury).

PROF. DŁUBALSKI. — Przecież to ogromnie ważne!
(tłumaczył się zdziwiony) Prawda historyczna, kocha-
ni! (zaczął z namaszczeniem).

(Zamachną niecierpliwie ręką Drumla, Bazgralski, Mier-
nocki).

(Ktoś zatkał uszy).

(Ów zjadliwie się uśmiecha).

KOZIOŁKIEWICZ. — (ofuknie) Zostaw na wety kazanie!
Panowie! czas późny. Wielu z was się spieszy, a
rzecz ważna. Pozwolicie, że bez etykiety, przystą-
pię stante pede do sprawy.

GŁOSY. — Mów, mów!

— Mów pan!

KOZIOŁKIEWICZ. — Jeśli potrzeba zajdzie, niech nam
szanowny Nestor przewodniczy! (schylił się w stronę
Rzyckiego). (Wszyscy kiwają głowami potakująco).

(Guzik i Turcuń ostentacyjnie siadają, niby do pisanía).

KOZIOŁKIEWICZ. — Żadnych protokołów! (rzucił im
ostro) Zebranie poufne. Tu nas nikt nie słyszy obcy...
I to, co powiem, nieprawdaż? poza nas nie wyjdzie.

BARON SCHAFFENDORF. — Entendu?! (zerknie w
stronę Dłubalskiego i Guzika).

MIERNOCKI. — No, chyba!

(Wydawcy tylko gest, godności pełen, ręką uczynią, nie
dopuszczając, by, co do nich, potrzebne były zastrzeże-
nia).

(Dłubalski spogląda zdziwiony po zebranych. Rentowicz
i Głupowiński zaciekawieni).

GŁOSY. — Słuchamy! słuchamy!

— Słuchamy!

KOZIOŁKIEWICZ. — Panowie!... Ośmieliłem się zgromadzić tu koryfeuszów, duchowych i materialnych, literatury pięknej... Ośmieliłem się z nakazu sumienia, z poczucia obowiązku i z przywiązania ku wam, szanowni panowie! i ku tym Muzom Ojczystym, nadewszystko ukochanym... (tu łza wzruszenia w głosie) Ośmieliłem się dlatego tylko i po to, by was, panowie, uprzedzić o wielkiem, ogromnem, potwornem niebezpieczeństwie...

GŁOSY. — Niebezpieczeństwo?!

— Skąd?

— Gdzie?

— Jakiem?

— Niebezpieczeństwo?? (sypały się gradem pytania, najgłośniejsz i najgłośniejsz z ust tych, którzy dokładnie już o wszystkim wiedzieli).

KOZIOŁKIEWICZ. — Panowie! Szanowni koledzy!.. zacni, kochani towarzysze broni!.. niebezpieczeństwo groźne i straszne, walące się, niby lawina, na was — bez wyjątku — wszystkich, którzyście życie oddali krzewieniu piękna, dobra i prawdy, — bądź czas swój i kapitały łożąc na zmułne, wzorowe prowadzenie pism lub wykładowe wydawanie dorobku Narodowego Ducha, — bądź spalając się na stosie zniczowym talentu poetyckiego, dramatycznego czy powieściowego, — bądź wreszcie zagrzebując się żywcem w chorobotwórczych pyłach ar-

chiwalnych i susząc mózg w zawrotnych rekonstrukcjach historycznych. (Każde zdanie poparte było wymownym, pełnym pochlebstwa spojrzeniem i pochyleniem głowy w kierunku odpowiednich jednostek, na których twarze i postawy spływało kolejno niehamowane zadowolenie, z lekką domieszką zazdrości o pochwalenie sąsiadów).

KOZIOŁKIEWICZ. — Panowie!... to, co wam grozi, co grozi — mówię — literaturze całej, estetyce, historii, grozi tem samem — o *horribile dictu!* — wprowadzeniem zamętu nieopisanego w uczucia, myśli i sumienia ludzi, nad których ucywilizowaniem, wyrobieniem, zrównoważeniem i uspokojeniem pracujecie nad siły i możność, — grozi zachwianiem ładu moralnego, ostoji religijnej, porządku społecznego i... nie daj mi, Boże! dożyć — bytu Narodowego.

GŁOSY. — Na Boga! mówże, co się stało?

— Kto?

— Co?

— Gdzie?

— Kiedy?

— Któżby się ośmielił?

— Mówże pan!

— Nigdyś tak jeszcze nie gadał!

KOZIOŁKIEWICZ. — Szanowni!... Dzięki składam Opatrzności, że mi dała wyczuć, dojrzeć, uchwycić nadciągający grom!... że... że sprowadziła traf, który mi nie tego potwornego klębka dał w ręce niedo-

DRUMLA)

BAZGRALSKI) — Godne! powołane, ręce!

MIERNOCKI)

RZYCKI (nabożnie) W powołane, dzięki Bogu!...

KOZIOŁKIEWICZ. — Panowie!... Od was samych, od waszej przezornej zgody, od solidarnych wpływów waszych będzie zależało zapobieżenie nieszczęściu i, mam nadzieję w Bogu, odwrócenie go zupełne. Ja

tylko uprzedzić mogę, i za szczęście sobie poczytuję najwyższe, że mogę uprzedzić, co wam grozi i skąd. GŁOSY. — Pocziwy nasz!

— Zacny!

— Kochany!...

— Co za obywatelska dusza!

— Prawdziwy syn Ojczyzny!

— Mówże, mów!

KOZIOŁKIEWICZ. — Panowie!.. (wyciągnął z biurka owe groźne rękopisy) Oto są rzeczy, o których mówię. Oto rzeczy, które traf opatrny dał mi do rąk, do oceny, zanim światło ujrzały dzienne. Widzicie? Obie tegoż, niestety! pióra. Jedną złożono teatrowi, drugą naszemu zacnemu redaktorowi.

(Prosiakiewicz kiwa głową potwierdzająco).

Panowie! rzeczy te — to formalna, czynna deklaracja wojny przeciwko wszystkiemu, co wam i sercu polskiemu drogie! to obalanie najświętszych tradycji... to zrywanie z najlepszą przeszłością... to odwrócenie wszelkich wartości, jak ten obłąkaniec Nietzsche mówił... nie! gorzej! to zatracenie wszelkich wartości! wszelkich — mówię: — literackich, myślowych, etycznych, społecznych... Co za treść! co za myśli! poglądy! idee! nakazy! głowa się zawraca! a forma? żal się Boże!.. nic z tych naszych miłych rymów, nic z tego swojskiego rytmu naszych zacnych wieszczów (spojrzenie w stronę Drumli i Głupowińskiego) — nie! jakiś wichr, wichr, wichr wszystkiego, a! głowa się zawraca!

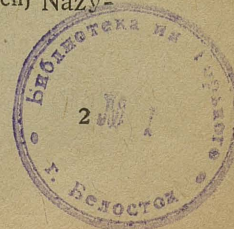
GŁOSY. — Kto? kto autor?

— Kto taki śmiały?

— Kto ten nowator?

KOZIOŁKIEWICZ. — Nie wiem, czy znany będzie komu z panów... (spoglądał beczelnie po zebranych) Nazywa się Bogdan Ogniski.

PROF. DŁUBALSKI. — Ogniski? Ogniski? (Wydawcy potrzęsają przecząco głowami).



BAZGRALSKI. — Co? ten przewrotowiec?

DRUMLA. — (z oburzeniem) Wstrętny zarozumialec!

BARON SCHAFFENDORF. — (kpiąco) Natuhalnie „zapoznany genjusz“? che, che...

TURCUŃ. — Wolnomyśliciel!

RZYCKI. — (naiwnie) Podobno, ateusz?

(Rentowicz uśmiechnie się mimowoli).

(Koziołkiewicz godnie milczy).

BARON SCHAFFENDORF. — (szydnie) Hozumie się!

RZYCKI. — (z oburzeniem) Błuznierca! Boga, mówią, tego, wyzywa na siły!

PROF. DŁUBALSKI. — A to jak Adam w Improwizacji (palnie prostodusznie).

DRUMLA. — (zdetonowany) Jak Adam?

(Poruszył się Rzycki gniewnie w fotelu).

RZYCKI. — Słuchaj! z tem mi imieniem, tego ten, nie równaj tych tam, panie tego, — przybłędów!
(Oburzają się i starsi wydawcy).

WSTRETNER) — Słyszane rzeczy? z Adamem?!
OKPISZ) przewrotowców!

(Profesor stropił się nieco, aliści brnie dalej prostodusznie)

PROF. DŁUBALSKI. — Przewrotowców?... któryż genjusz nim nie był, w młodości przynajmniej? „Duch wieczny rewolucjonista“, pamiętacie? Niema obawy! wyszumi młodość, wyszumi! (kiwał głową dobrotliwie) któryż nie szumiał i nie plwał? Adam? Juljusz?

(Koziołkiewicz piorunuje go wzrokiem: zabiłby, zda się, jak klingą. Potem spojrzy znacząco na paru konspiratorów. Ale sam milczy).

(Zato oburzy się głośno Głupowiński, jako wielbiciel i pono „kontynuator“ Słowackiego).

GŁUPOWIŃSKI. — Co? Juljusz?... także porównał! jak się profesor nie wstydzi?
(Oburzy się i baron)

BARON SCHAFFENDORF. — Est-il bête, celui-là!

(mruknie w głos do Drumli) Nie plótlbyś phofesoh!...

Co? może Khasiński jeszcze?

(Zalął się zupełnie Dłubalski)

PROF. DŁUBALSKI. — Ja nic... ja nic... Ja nic, tego, nie porównywan... Chciałem tylko spytać kochanego znawcę, (machnął ręką w stronę Koziołkiewicza) czy te... te cechy... przypadkiem, no... nie wróżą genjusza? no!...

DRUMLA. — Gdzie Rzym, gdzie Krym...

BARON SCHAFFENDORF. — Ależ natuhalnie! che, che, che... A co, nie mówiłem? che, che... A h o u i, je l'a i bien dit, zapoznany genjusz! che, che, che... phofesoh już chciałbyś być jego odkhywcą? che, che, che, natuhalnie!

KOZIOŁKIEWICZ. — Genjusz? No... tak dalece, nie! Nie, chwalić Boga! Oho, daleko jeszcze, bardzo daleko. Choć, nie przeczę, człowiek zdolny, nawet bardzo zdolny.

RZYCKI. — Tem gorzej, kochany, tem gorzej, panie tego, jeśli dary, tego ten, Boże przeciwko chwale Bożej i dobru, tego, ludzkiemu obraca. Tem gorzej! tem gorzej! (mrucał).

PROSIAKIEWICZ. — (konkludując) Tem jest niebezpieczniejszy!

MIERNOCKI. — Tem pilniej go się strzec!

DRUMLA. — Tem wcześniej trzeba ubezwładnić!

BAZGRALSKI. — Odebrać mu możność szkodenia!

TURCUŃ. — Zmusić do milczenia!

GŁUPOWIŃSKI. — Niedać mu znieprawiać umysły!

GUZIŃ. — Niedopuszczyć do głosu! poprostu, niedopuszczyć!

PROSIAKIEWICZ. — Psuć, panie, młodzież?!

MIERNOCKI. — Kalać imię Polski?!

TURCUŃ. — Szargać świętości? (wołali konspiranci jeden przez drugiego, we wzajemnych prześcigach zapalając się coraz bardziej, podczas gdy inicjator znów zachowywał godne milczenie).

RENTOWICZ. — Panowie! Czy nie przesadzacie? Mo-

że poprostu to tylko postępowiec? demokrata? (mówił, śledząc z zadowoleniem niespokojne poruszenia barona i Rzyckiego, podczas gdy wymawiał dobitnie te słowa ostatnie).

RZYCKI. — Ależ, ateusz! panie tego, bluźnierca!
(Rentowicz machnął ręką lekceważąco).

BARON SCHAFFENDORF. — Nie, panie dhogi! zupełnie, jaskhawy przewhotowiec!

DRUMLA. — Nie słyszałeś pan? rewolucjonista!

MIERNOCKI. — Poprostu, socjalista!

PROSIKIEWICZ. — (pouczająco) Tak! i to skrajny.

TURCUŃ. — Najsłabszy!
(Przerazili się starsi wydawcy).

WSTRETNER }
OKPISZ } — Słyszane rzeczy?

RZYCKI. — Tego jeszcze, tego jeszcze, panie tego, brakowało... (biadał). Widzisz, to twój genjusz (wyrzucał Dłubalskiemu).

(Profesor machał ręką, przerażony i oszołomiony).

BARON SCHAFFENDORF. — (nacierając nań) Daj mu, daj rząd dusz!

RENTOWICZ. — Socjalista?? a, to co innego! to co innego! (rejterował już) To są wściekłe psy!

WSTRETNER) — (równocześnie) Bandyta? I on chce
OKPISZ) mieć wydawcę? No, no, no... słyszane rzeczy, wydawcę?

PROSIKIEWICZ (z naciskiem) Pisać w uczciwych piśmiech?

RENTOWICZ. — No! z mego to już kwita!

PROSIKIEWICZ. — I z moich chyba!

GŁUPOWIŃSKI. — I z mego! i z mego!

MIERNOCKI. — No, przecie! takiego niesposób dopuścić!

TURCUŃ. — Jedyna rada: zbojkotować!

BARON SCHAFFENDORF. — Oui, c'est le mot:

zbojkotować! doskonale, choć postępowe! (ukłuk Rentowicza).

GŁOSY. — Zbojkotować!!

— Zbojkotować! (wołano zewsząd).

KOZIOŁKIEWICZ. — Jak panowie chcecie. Ja nic nie wiem. Rzec wasza. Ostrzegłem panów: rola moja skończona. Więcej nic do powiedzenia nie mam.
(Powstał z fotela, chrząkając, staruszek Rzycki).
(Uczyniła się cisza).

RZYCKI. — Proszę kochanych, panie tego, panów!... Nie wiem, jakie wasze, tego, zdanie... (mówił urywając i nie patrząc na nikogo) ale ja... stary, widzę, tego, wyraźny palec Boży... palec Boży, że nasz kochany, panie tego, i zacny krytyk mógł nas, tego ten, w czas uprzedzić!... tak, kochani! widzę w tem wyraźną, panie tego, wolę Boską... abyśmy, tego ten, jako dobrzy pasterze... upilnować... upilnować... tego, mogli powierzona nam, tego, panie, trzódkę... od gódzącego w nią... tego ten... rabusia (wszyscy przytakiwali) Obowiązek nasz... spełnimy, panie tego, prawda? (wszyscy przytakuja) spełnimy wedle serca... tego, i sumienia. Chrystus Pan... łagodny baranek, miał się tego ten, powrosła, aby dom swój od złego, panie, uchronić... My, dzięki Bogu, możemy... ten tego... łagodnie, bez gwałtu... bez gwałtu... tego, łagodnie, zamknąć przed, panie tego, rabusiem... drzwi... do powierzonej, tego ten, powierzonej... świątyni, panie tego ten, powiedziałem.

(Siadł).

(Chwila ciszy w pochyleniu czoła skłonionych głów).

(Odezwie się pierwszy redaktor pism wielu):

PROSIKIEWICZ. — Święte słowa!

TURCUŃ. — I tak się też stanie! (pieczętuje z mocą).

BAZGRALSKI. — Amen.

DRUMLA }
MIERNOCKI } — (zgodnie i jednocześnie) Amen.

(I znów milczenia chwila dłuższa).

(Przerwie ją niespodziewanie wydawca młodych Czystopolski, który dotąd był się jeszcze nie odezwał).

CZYSTOPOLSKI. — Przepraszam (zacznie zeicha i nieśmiało, przynajmniej na pozór) Ja bardzo przepraszam... ale czy niezbyt panowie pośpiesznie, tak zaraz na gorąco?

(Niespokojne poruszenia. Mruknie ten i ów).

GŁOSY. — Co tam?

— Co jeszcze?

— Zawsze liberum veto?...

CZYSTOPOLSKI. — Przepraszam... Wiadomo: krew szlachetna! polska! Ale, proszę panów, czy nie za pośpieszna decyzja? Sam nasz znawca powiedział: „człowiek bardzo zdolny“.

GŁOSY. — To właśnie!

— To właśnie niebezpieczna!

CZYSTOPOLSKI. — No, tak... ale, jak dobrze mówił pan redaktor Rentowicz, czy nie przesadzacie panowie w gorączce?
(Rentowicz potakuje).

GŁOSY. — Nie! ani trochę! (zaprzeczą chórem).

— Przesadzamy? także!

— Przewrotowiec!

— Burzyciel!

— Ateusz!

— Przesadzamy... a to dobre!...

CZYSTOPOLSKI. — Młody, proszę łaskawych panów... wyszumi, jak to pięknie powiedział pan profesor. Naturalnie, wyszumi!... Już ja ręczę.

BARON SCHAFFENDORF. — (niecierpliwie) Ależ zrozumiem pan, panie Czystopolski, to przewrotowiec! socjalista!

CZYSTOPOLSKI. — Przepraszam pana barona, co ma to do tego? ja mówię o sztuce, nie o...

BARON SCHAFFENDORF. — (z oburzeniem) A to doskonałe! Nic go nie obchodzi? Le voilà! Tu pana zaphowadzili ci pańscy „modehniści!“

MIERNOCKI. — Ładna mi sztuka, u socjalistów?!

BAZGRALSKI. — Czysta! jakżeż!

WSTRETNER. — Idź pan ze swoją sztuką!

OKPISZ. — My nie chcemy żadnej sztuki! Chcemy literatury! pięknej, poczytnej!...

PROSIKIEWICZ. — Uczciwej!

RZYCKI. — Budującej!

(Czystopolski przeczekał, aż się burza uspokoi).

CZYSTOPOLSKI. — (spokojnie) Proszę łaskawych panów, ja bardzo cenię uchwałę większości... Ale talentu młodego, proszę panów, naprawdę szkoda... Wyrobi się, wyszumi... Jąbym... jąbym zaryzykował wydać...

GŁOSY. — Co? (zawołali wszyscy naraz).

KOZIOLKIEWICZ (szepem do Drumli) Czuje bestja pismo... Mówże do licha!

DRUMLA. — (stymulowany) Dobrze wiedzieć z kim się pan bratasz! (wpadnie z wielkim impetem).

WSTRETNER. — Pfu! solidny kupiec.

OKPISZ. — A to życzę panu pomyślnych stosunków z... eksproprijacją!...

BARON SCHAFFENDORF. — To bałdzo, bałdzo procentujący intehes.

TURCUN. — Jeszcze mówi o ryzyku!... dobry!

CZYSTOPOLSKI. — Aj, panowie, poco zaraz takie słowa? Koledzy wydawcy (zwrócił się w stronę tamtych) najlepiej wiedzą, jaki to interes robi się na młodych. Ja tylko z afektu dla sztuki, dla honoru...

WSTRETNER) — Już my tam osobiście dziękujemy
OKPISZ) za honor wydawania panów Ogni-
skich!

DRUMLA. — (wybucha) Proszę pana! wiem coś ja o tem, jak się na honor wydaje!

TURCUN. — Nie tajne nam, co pan im płacisz z afektu, tym młodym...

GŁUPOWIŃSKI. — Jeśli pan myślisz, (wydaje się nagle ze swą niechęcią do bojkotowanego) że ten Ogniński da pa-

nu co za bezcen, jak ci inni „protegowani“ pańscy, no to się pan grubo, ale to grubissime myli! Wiem ja coś! to sztuka harda! Wyobrażcie sobie (zwrócił się oburzony do wszystkich) przysłał mi wiersz, taki, bez rymu, same rytmy.

DRUMLA. — (wzgardliwie) Ptt!

GŁUPOWIŃSKI. — Po jednym, po dwa słowa w wierszu. I wiesz pan, wiele żądał?

CZYSTOPOLSKI. — No?

GŁUPOWIŃSKI. — Ni mniej, ni więcej, tylko 25 kop. od wiersza!!

DRUMLA — BAZGRALSKI — GUZIK. — Co-o-o?? (otwarli usta).

MIERNOCKI. — Nie wiem, czy sam nasz Nestor tyle bierze...

(Rzycki kiwnął głową twierdząco).

CZYSTOPOLSKI. — (z przygasłym odrazu zapalem wydawniczym) Za pierwszy drukowany utwór?

GŁUPOWIŃSKI. — A za pierwszy!... I to w moim ideowym piśmie! (wołał w zaperzeniu).

CZYSTOPOLSKI. — No, no, no! (kręcił główką) Niesłychane!

GŁUPOWIŃSKI. — Ja także lubię, jak pan wie, młodych! Byłbym zamieścił! Zaproponowałem, czyby nie można drukować jednym ciągłym wierszem, no, choć od kropki do kropki, jako te tam „poezje proproza“.

DRUMLA. — Ptt!

CZYSTOPOLSKI. — No i co?

GŁUPOWIŃSKI. — Cofnął, panie szanowny, natychmiast!

PROSIAKIEWICZ (ruszając ramionami) Ambicyjka! nno, no!

KOZIOŁKIEWICZ. — (nagle wznosząc rękopis ku górze).

A ten tomik poezji widzicie?

DRUMLA. — Ciekawym.

OKPISZ. — (wzgardliwie) Lekuśkie to...

CZYSTOPOLSKI (już obojętnie) No, mów pan!

KOZIOŁKIEWICZ. — Dwieście rubli, i ani kroku.

DRUMLA. — (cieniutkim ze wzruszenia piskiem) Zwarjował!

GŁOSY. — Pierwszy zbiorek??

BARON SCHAFFENDORF. — Ależ to bezcelne! a! drôle qu'il est! Ja sam, ja sam dopłaciłem jeszcze za mój pierwszy. Ja sam... za mój...

CZYSTOPOLSKI. — No, w takich warunkach to niema co mówić.

BAZGRALSKI. — A widzisz pan!

MIERNOCKI. — Bandyta! prawdziwy bandyta!

DRUMLA. — Takiego dopuścić do głosu?

GŁOSY. — Nie! nie! rzecz skończona.

— Skończona! skończona!

— Jednogłośnie, panie Czystopolski!

(Czystopolski tylko ruszył ramionami).

(Rentowicz nie przeczył, ale też nic nie mówił).

(Obwiałwszy tedy wszystkich wzrokiem wypogodzonym i na pozór bezstronnie obojętnym, rzekł Koziołkiewicz):

KOZIOŁKIEWICZ. — Panowie! uchwaliliście zgodnie, coście sami uznali za słuszne i niezbędne. Poddaję się waszej decyzji. Kwestja więc wyczerpana.

RZYCKI. — (ciężko wstając ze swego siedziska) Nie, kochany! Jeszcze, panie tego, maleńkie słówko.

GŁOSY. — Słuchamy! słuchamy!

RZYCKI. — Czy nie uznacie, panie tego, za stosowne, kochani! abym... w imieniu wszystkich... podziękował, tego, serdecznie naszemu... naszemu zacnemu... i, tego ten, kochanemu...

GŁOSY. — Brawo! brawo! (ryknęli, przerywając w zapale, mimo czi, wymowę Nestora).

— Vivat!

— Crescat!

— Floreat! (wołali, cisnąc się ku tamtemu).

— Multiplicetur!!

(KONIEC AKTU PIERWSZEGO).

AKT II.

OSTATNI WYSILEK.

Oser; le progrès est à ce prix.

V. Hugo.

(Wbrew woli wsłuchiwała się w ten o rozpacz przyprawiający odgłos kroków jego w izbie przyległej, który rozlegał się w jej duszy, jak potworny stukot młota, kującego wieko trumny).

MARJA. — O drogi! drogi! (wyszeptała żałośnie z głębi serca, dłonie ku drzwiom zamkniętym wyciągając) Co począć? Co począć?

(Urwany, cichy szloch, i znowu zapadła w niemą bezradną rozpacz zupełnego przygnębienia).

(Nagle zwróciła się z drżeniem w stronę drzwi wchodowych, gdyż lekkie puknięcie oznajmiło wejście brata. Aliści wnet opadła znowu, bowiem wchodził jak winowajca, smutny i zgnębiony sam, unikając podniesionych nań z niemem zapytaniem oczu).

BRONISŁAW. — (Siadł cichy, nie zdjawszy płaszcza, upuszczając na kolana czarną ceratową teczkę i kapelusz).

(Przeszła długa, ciężka chwila).

(Wreszcie, nie podnosząc głowy, spytała cicho):

MARJA. — Więc nic?

(A szept ten był, jak szloch ostatni pielgrzyma, przysuto-go już po usta piaszczyskiem pustyni...)

BRONISŁAW. — Nic (zabrząkło, jak ostatnie fali młażnięcie ponad schłoniętym okrętem).

(I cisza.

Tylko dudniły kroki nierówne w izbie przyległej, jak łomot straszliwy ziemi, lecącej na trumnę).

(Wzdrygnęły się).

MARJA. — To straszne!... (szepnęła ze drżeniem) Słyszysz? (pytała nerwowo) Słyszysz?

BRONISŁAW. — (kiwnął głową).

MARJA. — Co począć? co począć? (wybuchła nagle) O! ludzie, ludzie! No mówże! radź!... No radźże!... słyszysz? radź! (szarpała brata) Ja dłużej tak nie mogę! Nie wytrzymam!... Radź!... ja nie mogę na mękę jego patrzeć! nie mogę, słyszysz? Sił nie mam... Radź! tyś przecie brat! przyjaciel! prawda? przyjaciel?

BRONISŁAW. — (kiwnięcie zwieszoną głową).

MARJA. — Więc czemu nie radzisz?... Czemu nie radzisz?

(Wybuchła głośnie łkaniem).

BRONISŁAW. — Marjo! Marjo! (szeptał żałośnie). (Ucichła).

MARJA. — Ach, wybacz!... wiem, żeś wszystko już zrobił... Wyznacz, sił braknie... słyszysz, jak chodzi? Całe dnie, całutkie dnie, i noce całe od tej odmowy ostatniej... Nie je, nie sypia. Jak on strasznie wygląda, Bronek!... i nie mówi, słyszysz? ani słowa, ani słóweczka... tylko chodzi, chodzi, chodzi, a!... Mówię do niego, uśmiecha się tylko, tak serdecznie, tak boleśnie. — Bronku! ja się tak boję tego uśmiechu. Wiem, że nic, nic nie słyszał, co mu mówiłam... nic! uśmiecha się boleśnie... Bronku!... podejdzie, pocałuje mnie cichutko w czoło i znowu chodzi, chodzi...

BRONISŁAW. — Biedny... Lew w klatce.

MARJA. — Lew! tak, potężny lew królewski!... ale ten w klatce głos ma wolny! rykiem bunt swój wieści! i spętana moc... a mój, Bronku, mój lew ukochany niemy... niemy, niemy, przemocą!.. Jakże to straszne, Bronku! bezlitośnie straszne.

BRONISŁAW. — Straszne...

(Cisza. Chód za ścianą).

MARJA. — Bogdan! Bogdan! Bogdan! (wyciąga w rozpaczy dłoń ku ukochanemu, tam...) Co począć? (szepce, a potem znów do brata) Powiedz, czyż oni naprawdę nie rozumieją? nie czują?

BRONISŁAW. — (milczy).

MARJA. — Nie! to niemożliwe, Bronek! to niemożliwe.. powiedz, nie czują tej potęgi głosu?

BRONISŁAW. — O! czują, niestety! (westchnął).

MARJA. — Czują?? czują, mówisz?... Jakżeż? dlaczego go opasali murem milczenia? — dlaczego? no, mówże!

BRONISŁAW. — (ponuro milczy).

MARJA. — Czują!? więc oni czują? aha! (przypomniała podejrzliwie) powiedziałaś: „niestety“!! powiedziałaś? (potrząsa nim).

BRONISŁAW. — (milczy).

MARJA. — Bronek! (krzyknie, a gdy podniósł na nią oczy, wpatrzyła się w nie badawczo i, ciężko dysząc, urywanie wykrztusiła): Mów prawdę! nie chcą go?

BRONISŁAW. — Nie chcą (szepnął).

MARJA. — Wiedzą? i nie chcą?..

BRONISŁAW. — Wiedzą, Marjo i.. nie chcą.

MARJA. — Mów prawdę! świadomie? rozmyślnie? na zimno? (rzucała z wysiłkiem strasznym).

BRONISŁAW. — Tak, Marjo! na zimno i.. planowo.

MARJA. — Pla-no-wo (wyjęknie, a potem nagłem łkaniem wybuchnie) O, Bogdan... Bogdan... daruj, ukochany! o! o! o! o... a ja go... głupia... namawiałam, by tu jeszcze, i tu napisał — do tych obmierzłych pism, — do tych wydawców...

Ależ to znęcanie się potworne! (wybuchnie znów po chwili) Daruj, serdeczny! (zwracała się ku niewidzialnemu, w tamtej izbie) Bronku! wybac mi, że cię posyłałam.

BRONISŁAW. — (Gestem tylko odpowie uspokajającym).

MARJA. — Nie wiedziałam... nie przypuszczałam... to potworne! potworne! potworne!
(Zamilkła, wyczerpana bezsilnej rozpaczy wybuchem).
(Aliści za chwilę nowa fala rozpaczy wzdymać się zaczęła w nękanem męką sercu).

MARJA. — Taak?... więc to tak? (szeptała) Nie chcą?... Nie chcą geniusza!... Mordercy!! (krzyknie głosem strasznym, i wnet zaszłocha) O, Bogdan! Bogdan!... — Na zimno? planowo? Mordercy! Mordercy!.. o, Bogdan!... Bogdan! dziecko serdeczne! Lwie mój!... Królu! Bogdan! — Planowo, Bronku? Planowo?

BRONISŁAW. — (głaskał jej dłoń, szepcąc):

Cicho, Marjo!... Cicho! uspokój się...

MARJA. — Planowo? (łkała) co począć?... planowo? o, Bogdan!...

BRONISŁAW. — Marjo! uspokój się, Marjo! mógłbyś usłyszeć...

MARJA. — Bogdan?... nie! nie trzeba! nie trzeba (otarła łzy) Nie, nie! biedny mój! drogi... jacy ludzie potworni! potworni!

BRONISŁAW. — Szara, nędzna miernota... plugawa i wstrętna. Miernota, Marjo! oto plaga ludzkości... straszliwa, bo władzę mająca; solidarna przeciwko wszystkiemu, co miernotą nie cuchnie. Ach! to śmiertelny wróg geniusza, wróg nieprzejednany i wiecznie czujny!

MARJA. — Jakże to straszne, Bronek!

BRONISŁAW. — Straszne, Marjo! i niepomierne, bosko głupie!

MARJA. — Co czynić? powiedz!... co czynić?...

BRONISŁAW. — (opuszcza bezradnie ręce — okropna odpowiedź!).

(Ruszyło się coś gwałtownie za ścianą).

BRONISŁAW. — Cicho! (zawoła wstając).

MARJA. — Bogdan! (krzyknie, rzucając się w lęk ku drzwiom pokoju, skąd zagrzmiął śmiech donośny, hałaśliwy).

(Rozwarły się drzwi szarpnięte, i wpada śmiejący się wesoło, do rozpuku Bogdan).

BOGDAN. — Cha, cha, cha!... Jest, Maryś! jest! cha, cha, cha, znalazłem! jest!

BRONISŁAW } — (przestraszeni) Co ci, Bogdan? co ci?
MARJA }

BOGDAN. — A, Bronisko! tyś tutaj? wiesz? (mówił śmiejąc się wciąż i ściskając go mocno) wiecie? cha, cha, cha, (biegł ku Marji i nagle, spojrzawszy na nią, cicho, z wyrzutem): Płakałaś?!... Maryś! Maryś! (wziął jej obie ręce, i w oczy patrzył z ukochaniem) Ale już nie będziesz! Słyszysz! nie będziesz! (powtórzył z mocą) Znalazłem. Znalazłem!

MARJA. — Znalazłeś? (szepnęła smutnie, zwątpiała rozpaczą).

BRONISŁAW. — (niemal żałośnie) Piszesz?

BOGDAN. — Piszesz? cha, cha, cha! A to dobre!... Nie, chłopie! dawno już nie piśzę! Ale teraz będę! Oho! puszcze ją sobie wodze! Słuchajcie! Zdobyłem wolność!

BRONISŁAW } — (echowo) Wolność?... Co ty? co ty?
MARJA }

MARJA. — Ach! Bożek, Bożek! nie żartuj tak żałośnie...

BOGDAN. — Biedactwo ty moje drogie! Ależ ja wcale nie żartuję! Znalazłem nareszcie sposób wydania swych utworów.

BRONISŁAW } — Co mówisz?
MARJA }

BOGDAN. — To samo, to samo, cha, cha, cha! Myśleliście, że tylko rozpacz gania mnie po izbie? cha, cha, cha!... to dobre!... Nie, drodzy! Móżdżysko to biedne tworzyło! tworzyło... jak zawsze... tylko coś innego... No, i jest wszyściutko! w szczegółach!...

BOGDAN } — Naprawdę? (wybijał się wiotki ton nadziei).
MARJA }

BOGDAN. — Ale, słuchajcie! potrzebna mi wasza pomoc. Twoja zwłaszcza, Bronisko!

MARJA. — Pomoc? nasza?

BRONISŁAW. — Moja?

BOGDAN. — Tak! wasza! twoja, natychmiastowa!

BRONISŁAW. — (krótko) Mów!

BOGDAN. — Tak, mam sposób, ale... (zatrzymał się chwilę i, spojrzawszy figlarnie na Marję, wyraziście) muszę umrzeć!

MARJA. — Bożek! Bożek! jak możesz coś po...

BOGDAN. — (przerywa łagodnie i tkliwie) Dziecko ty! dziecko głupiutkie! Zaliżby odszedł twórca dobrowolnie, siebie nie wypowiedziawszy?

MARJA. — To pocóż ty?...

BOGDAN. — Poco?... Bo żyć chcę twórcą! inaczey nie! Dla pudła nie tworzę! ani dla szuflady biurka! Nie! mam tego dość!! A jakżeż wydać za życia?

MARJA. — Bożek!

BOGDAN. — Dziecko! abym żył — twórca — w two-
rach moich, człowiek — dla świata umrzeć muszę.

MARJA. — Bożek!

BOGDAN. — Umrzeć musi ten cywil, w mądrych księgach ludności, jako „Bogdan Ogniski, lat trzydziestu trzech, tu i tu zamieszkały, bez określonego — cha, cha, cha, zajęcia“.

MARJA. — Bożek, dość! ja nie chcę...

BOGDAN. — Dziecko, zrozumże! ja żyć będę, ale oni niech myśla, żem umarł. Rozumiesz?

BRONISŁAW } — Co?
MARJA }

(Zrozumiał Bronisław).

BRONISŁAW. — Czyż pewnyś, że wtedy?...

BOGDAN. — O tak! przy twojej pomocy, i twojej, Maryś!

MARJA. — Drogi! ja nie wiem, nie wiem, czy zdołam... tak się boję samego brzmienia, że ty... że ty... mógłbyś...

BOGDAN. — Dziecię! to jedyny, jedyny już środek. Innego niema.

BRONISŁAW. — Absolutnie!

BOGDAN. — Zresztą, Maryś! jeśli uda nam się, jak myśle, jak chciałbym, no! to wkrótce... cha, cha, cha! zmartwychwstanę!
(Zdziwienie obojga szczerze).

BOGDAN. — Tak! rozumie się! Niech tylko wydadzą tę pięć—sześć książek gotowych! niechno rozgłoszą tylko wszędzie, jako geniusza, przedwcześnie ze szkoda Narodu zmarłego, a tak przez nich cenionego i kochanego...

MARJA. — (z oburzeniem) Co ty mówisz?

BOGDAN. — Tak będzie! obaczysz, tak będzie!

BRONISŁAW. — (przytwierdza gestem).

BOGDAN. — A wtedy, nagle zrzucam maskę! podnoszę wieko trumny i upiór, nie! straszniejszy dla nich od upióra, bo twórca żywy, jawię się przed ich rozwarłe, ogłupiałe, cha, cha, cha! wściekle oczy!... Wiesz, dla tej jednej chwili gotówbym już to zrobić.

BRONISŁAW. — To będzie t a b l e a u dopiero!

BOGDAN. — To będzie uciecha... Pomyśl, Maryś! sami, sami mnie rozgłoszą, wydadzą, opatentują!... mnie, nienawistnego! mnie, wroga śmiertelnego! cha, cha, cha!

(Biegał po izbie w uciesze wyobrażanej, jakgdyby to już się naprawdę stało).

(Radowali się i tamci).

BRONISŁAW. — Tak, to pyszne! To pyszne! (zacierając ręce) No, i jedyne!

BOGDAN. — Więc zgoda?

(Bronisław podał dłoń).

BRONISŁAW. — (poważnie) Oby się tylko udało...

MARJA. — (niepokojem znowu opanowana) Ale jak, Bożek?

Jak? Wiesz, jak pragnę, jak pragnę, by wyszły te książki twoje... wiesz, jak je kocham... jak, jak ciebie prawie... ach! jak pragnę... jak pragnę, by wyszły!... Bożek! a boję się... czegoś, czy ja wiem, by Tobie coś nie... nie zaszkodziło.

BOGDAN. — A cóż mi może zaszkodzić? w czym?

MARJA. — Czy ja wiem?

BOGDAN. — Przypuśćmy, że się nie uda. Cóż ja tracę? Nie istnieje dziś i tak dla świata! Ja, ni twory moje. Jeśli się nie uda, istnieć nadal nie będę. I tylko.

MARJA. — Tak, tak, ale, Bożek!...

BOGDAN. — A jeśli się uda, pomyśl!... A ja wiem: udać się musi! Musi! Widzę je nawskroś, te miłe duszyczki... moich *secrébleu*! „kolegów pióra“!

MARJA. — O, jakże ich nienawidzę!

BOGDAN. — A widzisz... pomyśl, jakież tryumf! pomyśl!...

MARJA. — Tak, tak, już dobrze! mów!

BRONISŁAW. — Tylko konkretnie, poeto!

BOGDAN. — Nie bój się, Bron! twórca jest zawsze konkretny, gdy tworzy.

BRONISŁAW } — Więc?
MARJA }

BOGDAN. — Otóż, tak, *brevissime*. Zachorowuję. Jutro chociażby. Wyjeżdżam. Umieram.

MARJA. — Bogdan!

BOGDAN. — Umieram! Przysyłam kopertę z obwódką. Chodzisz smutna, w żałobie.

BRONISŁAW. — A-a!

BOGDAN. — Cyt: Teraz twoja, Bronku, rola. Pogłoski, szepty tu i tam. Parę słów cichych, na ucho, na stronie. Nic wprost. Nic jawnie. Same szepty, rozumiesz? Umarł z rozpacz... z głodu... z wyczerpania... zadano gwałt, rozumiesz?...

BRONISŁAW. — Nie bój się! już ja to zrobię. Puszczę! oho! już ja im puszczę szepcik! tej klice zbójeckiej!

BOGDAN. — A szepty dalej, pogłoski, jaskrawsze, głośniejsze. Nic osobiście. Nic wprost... aż zgłoszą się do was sami. Wówczas ty, Bronek, wyluszczyysz, co było! odrazu, nie szczędząc!

BRONISŁAW. — Tego mi podpowiadać nie trzeba. Odważę im, co wiem. Porcyjkę solidną!

MARJA. — Potworni! potworni! o!

BRONISŁAW. — Plugawa miernota!

BOGDAN. — Tak, powiesz wszystko. A gdy wstanie oburzenie, muszą przyjść po rzeczy... A jeśli nie, ty rzuć żądanie ekspiacji: wydać! Tylko nie darmo!

BRONISŁAW. — Nie lękaj się! drogo cię sprzedam.

BOGDAN. — Jaknajdrożej! cha, cha, cha — A gdy już wszystko wyjdzie, co jest gotowe, gdy wszystko, Maryś, pójdzie w świat, do serc, do żywych dusz... gdy tama zerwie się na zawsze, wtedy, wtedy, Maryś — znów zjawię się żyjący.

MARJA. — Dopiero wtedy, Bożek? to ja bez ciebie tak długo tutaj? sama?

BOGDAN. — Ależ nie, droga! Będę tu z tobą czas, cały...

MARJA. — Jakto? Nie wyjedziesz? (zdziwiła się radosna i już niespokojna).

BRONISŁAW. — Nie wyjedziesz? jakżeż?

BOGDAN. — Wyjadę, oczywiście, ale na czas jaknajkrótszy... dni kilka najwyżej... tyle tylko, aby skądś z zagranicy, zdaleka, nadesłać „wieść żałobną“. To niezbędne, na wszelki wypadek, dla listonosza, stróża, policji i t. p. czujnych oczu. Tak! tyle tylko, Maryś! ale tyle muszę. Byłoby niebezpieczne zaniedbać ostrożności, a tem bardziej komuś wysłanie listu powierzyć.

BRONISŁAW. — Rozumie się! Nikt, prócz nas trojga, domyślać się nie powinien.

BOGDAN. — Nie może. Ani - ni.

MARJA. — Więc zaraz wrócisz? naprawdę? i będziesz ze mną? u nas?

BOGDAN. — Nie tutaj, dziecko! To niemożliwe.

BRONISŁAW. — Rzec prosta, Marjo! musisz zmienić mieszkanie. Tu go zbyt znają.

BOGDAN. — Tak! zresztą, nie będziesz mogła znieść tego mieszkania, gdzieśmy razem byli, rozumiesz?

MARJA. — No tak, oczywiście. Choć wiesz, przykro mi

będzie, drogi! tyleśmy tu przeżyli chwil... Ale trudno, tak.

BOGDAN. — Zmienisz nagle, bez wymawiania, jak tylko wieść otrzymasz, w dni parę... Przeniesiesz się dalej.. do innej dzielnicy, odległej... Tam zamieszkacie z Bronkiem. To konieczna. Bronek być musi, dla akcji, a potem, gdy wrócę, przyjdę do was pewnego wieczora, i zostanę.

MARJA. — Będę się bała, o! (szepnęła już drżąca) ustawicznie.

BOGDAN. — Ale czego, dziecię? czego? Ja się nie wydam. Ciekawskim nie jestem. Nie będę wcale wychodził, chyba o zmroku. Zamieszkam, jak tu, w głębszym pokoju. Nie wpuszczcie tam nikogo, nigdy. Nie wydacie się gestem ni tonem.

BRONISŁAW. — Nie bój się: gra zbyt poważna.

MARJA. — (drząc nerwowo) Będę się bała, Bożek! o...

BOGDAN. — Opanujesz się, Maryś! Wszak będę z tobą, pod twoją opieką, pod waszą strażą zdwojoną. Będę tam siedział w ciszy zupełnej, zdala od zgiełku świata, spokojny, że wy tu czuwacie... Dam wodze myślom zupełne, zupełne... Powetuję sobie czas stracony w niepokoju, w tłuczeniu głową rozpaczem o mur milczenia! powetuję, Maryś!

Wy tu czuwacie, strażnicy nabrzeżni!

a ja się tam rzucę w ocean skłębiony,
w otchłanie fal,

po dziwy - cuda moich wód.

A gdy latarnia wasza błysnie,

skoro dacie znak,

wynurzę się na brzeg,

nie więzień już, lecz król!

MARJA. — Drogi mój! Już nie drzę... Nie! nie! przed nimi nie zadrzę!

BOGDAN. — Wiem, Maryś!

MARJA. — Przed nimi nie zadrzę... Co? zdradzić słabo-

ścią ciebie? ciebie, Bogdan? przed okiem tych kątów? O nie! nie zadrzę.

BOGDAN. — Maryś, druha mój! I zacząć nie zawahasz się tej gry rozpacznej.

MARJA. — Bogdan!

BOGDAN. — Maryś!

(Spojrzenia z głębi dusz, i długi, mocodawczy uścisk).

(Podbiegnie wzruszony Bronek i ujmie ich oboje razem w braterskie swe objęcia. Zaśmiej się figlarnie i w ucho im zanuci):

BRONISŁAW. — Początek walki słodki, słodki,

Oby tak słodki koniec był!

(Śmieją się).

(Grozi mu palcem Marja, zaś Bogdan nagle, tonem wodza):

BOGDAN. — No, Bronisko! Szykuj broń! (a potem kurtynowo) pomścij moją śmierć!

BRONISŁAW. — Tak! zemsta, zemsta na wroga!

Z Bogiem — i choćby mimo Boga! (zaśpiewa w odpowiedzi).

(Śmieją się serdecznie i wraz podchwyca wszyscy troje):

MARJA

BRONISŁAW { Zemsta! zemsta, zemsta na wroga!

BOGDAN { Z Bogiem — i choćby mimo Boga!

BOGDAN. — (wesoło) A tymczasem, Maryś! zanim skazaniec umrze, dają mu przecie jeść, jeść! jeść!!

MARJA. — Ach, tak, biedaku! tak!

(Zakrzęta się w pośpiechu współczucia).

(KONIEC AKTU WTÓREGO).

AKT III.

W OPAŁACH.

Biada wam Skribowie i Faryzeusze obłudnicy, iż oczyszczacie, co zewnątrz kubka i misy, a wewnątrz pełni jesteście drapieżstwa i plugastwa...

Biada wam Doktorowie i Faryzeusze obłudnicy, iż jesteście podobni grobom pobielanym, które z wierzchu się zdadzą piękne ludziom, ale wewnątrz pełne są kości umarłych i wszelakiego plugastwa...

Ew. Mateusza XXIII.

(Obszerny, niegustownie zamożny salon Rentowicza).

(Z sąsiedniej izby, z dymem wraz, dobiega pogwar wielu głosów).

(Na kanapie w rogu przysiedli Rzycki z baronem. Obok na krzeselku Drumla).

RZYCKI. — Nie wiesz baron, (pyta zmęczony już nieco gwarem staruszek) poco on tu nas, panie tego ten, do siebie zaprosił?... Przychodzi mi, tego, na myśl, czy aby, tego, nie chciał nas, panie tego ten, nawracać do tych tam... postępowych, che, che, doktryn?

BARON SCHAFFENDORF. — No, nie przypuszczam. Ah, ma foi, non! Nie jest tak chyba naiwny.

DRUMLA. — (nadskakująco) Pan baron ma rację... jak zawsze.

RZYCKI. — Ale bo, panie tego, nie wiem zgoła, poco on nas tego?...

DRUMLA. — Coś gdzieś zasłyszałem, jakoby to miało być w sprawie tego Ogniskiego.

BARON SCHAFFENDORF. — Quoi? Ogniskiego?

RZYCKI. — Jakiego tam znowu Ogniskiego? coś, panie tego, nie słyszałem...

DRUMLA. — Zapomniał ojciec kochany.

BARON SCHAFFENDORF. — Ależ ten „genjusz“ przecież milczy jak ghób!

DRUMLA. — W czym mu szczerze dopomogliśmy (wycedził, nie tając radości).

BARON SCHAFFENDORF. — Che, che, che! ah, oui! dopomogliśmy che, che, che! Dowcipnyś, mistrzu! che, che, che!

RZYCKI. — Nie szydźcie, panie tego, z niepowodzeń bliźniego!

BARON SCHAFFENDORF. — Swoją dhogą nie hożumiem, a *près tout*, co tu za sphawa być jeszcze może?

RZYCKI. — Wiesz, panie tego, przychodzi mi do, tego, głowy, może on, tego, jakże go...

DRUMLA. — Ogniski.

RZYCKI. — Tak, Ogniski... może się, tego panie, ustałkował?... może się wyzbył, tego, tych swoich narowów... genjusza, co? tych, tego tam, panie, przewrotowych idej... i chciałby już, tego, z nami, panie, w zgodzie pracować, panie tego, razem... dla dobra ogółu?

DRUMLA. — (szeptem) Nie daj Boże!

BARON SCHAFFENDORF. — Niepophawny, che-che! z pana idealista (śmiał się w nos Drumli).

(Tymczasem w progu salonu stanęli Koziółkiewicz z Guzikiem, który coś kończył cichutko przedkładać).

KOZIÓŁKIEWICZ. — (przerywając półgosem, niecierpliwie) To wiem, no dalej! no!

GUZIK. — (znowu coś szeptem usłużnie).

KOZIÓŁKIEWICZ. — (głośno już) O, do diabła! i to jeszcze? i to? O! do diabła! do diabła!

BARON SCHAFFENDORF. — (z kanapy ze śmiechem) Ho, ho! Koziółek! a cóż ci to? che-che! Chodź-no, opowiedz!

KOZIÓŁKIEWICZ. — (ręką tylko machnął, zwracając się do dymnego pokoju).

BARON SCHAFFENDORF. — Ughyzło go, ughyzło! Panie Guzik!

GUZIK. — (rzucił się był usłużnie ku panu Baronowi, alieści na gniewny znak krytyka cofnął się i znikł wraz z tamtym, potrącając we drzwiach wchodzącego Czystopolskiego).

(Wydawca „młodych“, wzruszając ramionami, perorował sam do siebie).

CZYSTOPOLSKI. — Ja nie rozumię, poco on tamtych paskudników, tych zacofanych wydawców zaprosił? Co mu z tego przyjdzie?

(Cofnął się, przepuszczając jednego z wrogów swoich, który właśnie wchodził pod rękę z Miernockim).

MIERNOCKI. — (przypochlebnie) Nie wiem naprawdę, panie wydawco, jak śmiał on, goszcząc tak szacowne osoby, zaprosić tego śmierdziucha? (kiwnął palcem w kierunku Czystopolskiego).

OKPISZ. — (z miażdżącą godnością) Czyżbyś sądził, że może mnie dotknąć obecność jakiegoś Czystopolskiego?

MIERNOCKI. — (poprawiając się) A! nie, oczywiście! nie.. ale bądź co bądź, panie wydawco, uważałbym to za... conajmniej... za nieuszanowanie panów.

OKPISZ. — Ba! zapominasz, żeśmy u postępowca!

MIERNOCKI. — Sst! (szepnął, ujrawszy w progu Rentowicza).

BARON SCHAFFENDORF. — (równocześnie, do towarzyszków z kanapy) No, zahaz się dowiemy!

(Istotnie, wchodzili z dymnego pokoju wszyscy zaproszeni, przepuszczani przez stojącego w progu gospodarza. Gdy

się wszyscy rozmieścili, postąpił tenże ku jednemu ze stolików i z cechującą go stale pewnością głosu, ruchów i gestów, ujawniającą pod pozorami „europejskości” wielką zarozumiałość i lekceważenie wszystkich poza sobą, rzekł głośno):

RENTOWICZ. — Pozwól panowie, iż rzecz mą wyłuszcze.

BARON SCHAFFENDORF. — Ależ phosimy!!

GŁOSY. — Prosimy!

— Prosimy!

RZYCKI. — Mów, kochany panie.

RENTOWICZ. — Proszę panów, ukrywać nie będę, afera przykra... zwłaszcza, gdy się jest obowiązany, z zasady, z przekonań, trzymać się pewnych norm, jeśli wolicie, form pewnych, zwanych słusznie postępami...

RZYCKI. — Hm, hm! (chrząknął niecierpliwie).

RENTOWICZ. — Gdy się jest obowiązany dbać o nieuchybień godłom demokratycznym, rozpiętym nad pismem i stronnictwem.

BARON SCHAFFENDORF. — No, tak, tak! ale cóż to nas, panie łaskawy, którzy nie mamy zaszczytu?

RZYCKI. — (z niepokojem) Czy, tego panie, niezbyt daleko to, tego ten, zmierza?

RENTOWICZ. — (podrażniony, że mu piękną tyradę przerwano, twardo) Nie! właśnie prosto do celu! do tego, coście panowie zrobili z Ogniskim! (rzucił jak wyzwanie).

CZYSTOPOLSKI. — No, właśnie! co panowie z nim zrobili?

GŁOSY. — (zewsząd) My zrobili?

— My?

(Najgłośniej wołali ci, co się do bojkotu najbardziej byli przyczynili).

PROF. DŁUBALSKI. — Ale co? co się stało? co? (rzucił wkoło).

(Okpisz tylko i Prosiakiewicz w milczeniu wzruszali obojętnie, z wyżyn swej godności, ramionami).

BARON SCHAFFENDORF. — (drwiąco) A to dobrze, wie pan łaskawy! Cóżemy to za zbłodnię na „genjalnym” panu Ogniskim spełnili?

CZYSTOPOLSKI. — Jako? nie zabronili nam panowie wydać jego rzeczy? Nie skazaliście go na głód? na milczenie? na... czy ja wiem? Na wszystko? co? to jest nic?

DRUMLA. — (gniewnie się wyrwie) Trudno! musimy się bronić! (Zmierzony zato został ostrym wzrokiem przez siedzącego cichutko, jakby go wcale nie było, Koziolkiewiczą).

PROSIKIEWICZ. — Bronić powierzonych nam dusz (poprawił spokojnie).

MIERNOCKI. — (z całą godnością) Honoru piśmiennictwa polskiego!

RZYCKI. — (mruknął ku niemu) Pocziwy!

PROF. DŁUBALSKI. — Ale dajcie mu powiedzieć! niechże wiem, co się stało!

RZYCKI. — Mówże, mów, panie kochany! (westchnie w obawie gwarnej niesnaski).

RENTOWICZ. — Powiem, oczywiście! (cedził złośliwie i zarozumiale) skoro się tylko raczy uspokoić to nasze polskie zebranko.

(Spojrzał wyzywająco po wszystkich i czekał).

RZYCKI. — Hm, hm! (zachrzękał, kiwając głową złośliwie).

PROF. DŁUBALSKI. — Sst!

RENTOWICZ. — Dobrze powiedział sangwiniczny poeta: (zaczął z zadowolonym sarkazmem) „musimy się bronić”. To też bróńcie, panowie, siebie!

MIERNOCKI. — (kierując ku Drumli całą wzgardę) O! ty, ty, ty!

PROF. DŁUBALSKI. — Sst!..

RZYCKI. — No dalej, panie kochany, dalej!..

RENTOWICZ. — Brońcie siebie, mówię. To wam wol-

no, oczywiście. Ale i mnie wolno bronić siebie, mego honoru, honoru stronnictwa i pisma.

BARON SCHAFFENDORF. — Bahdzo phoszę! bahdzo phoszę!

OKPISZ. — (wzruszając ramionami) Ale co to nas, przepraszam?

MIERNOCKI. — Tak! cóż to nas obchodzi?

PROF. DŁUBALSKI. — Sst!..

RENTOWICZ. — (gniewnie już) Was? o! bardzo, bardzo to was obejdzie! ino się dowiecie!

PROF. DŁUBALSKI. — No, mówże pan, do diabła!

RENTOWICZ. — Nie dacie mi przecie zdania skończyć!

RZYCKI. — Ależ, bo też, ten tego, wleciesz, panie kochany!

RENTOWICZ. — Dobrze: macie odrazu! Ogniski, którego zbojkotowaliście przed półrokiem, wbrew memu głosowi...

CZYSTOPOLSKI. — I memu!

RENTOWICZ. — Nie żyje!! (krzyknął i w tył się rzucił, śledząc wrażenie).

GŁUPOWIŃSKI) — Nie żyje?

MIERNOCKI)

KOZIOŁKIEWICZ. — (w niepewności, co też tamci wiedzą) No, tak, to i cóż? no, nie żyje...

DRUMLA. — (nie mogąc ukryć radości) Naprawdę? naprawdę nie żyje?

PROF. DŁUBALSKI. — (w przerażeniu i z żalem szczerym) Ten Ogniski? ten poeta? zdolny, mówiliście? i nie ogłosił nic?

DRUMLA. — (nie hamując się) No, nie! oczywiście!

PROF. DŁUBALSKI. — Ale zostały rękopisy? Zostały, prawda? (pytał, nie wiedząc sam kogo) Koziołku! tyś miał rękopisy!

KOZIOŁKIEWICZ. — Idź do diabła! (odpędzał się od natręta).

BARON SCHAFFENDORF. — (zcicha, źle ukrywając za-

dowolenie) Nie żyje? Eh bien, alors? to przykho, to bahdzo przykho!

RZYCKI. — Wola Boża! Wola Boża!

WSTRETNER. — (z ironją do Rentowicza) Tylko tyle miałeś pan do powiedzenia?

TURCUŃ. — (bagatelizująco) Ależ to wiemy już dawno!

PROF. DŁUBALSKI. — (z niepokojem) Dawno?

TURCUŃ. — (niedbale) Było gdzieś w nekrologii.

GUZIK. — (odważywszy się) Tudzież wzmianeczki w gazetkach.

DRUMLA. — (ze szczerem zdziwieniem) Żem też to mógł przegapić, żem też to mógł przegapić!

BARON SCHAFFENDORF. — (niewiadomo, do siebie czy do Drumli): Vraiment, to bahdzo, bahdzo przykho! Ale co my tu, panie łaskawy? Co my? (zwrócił się do Rentowicza).

MIERNOCKI. — To właśnie, panie, cóż my tu? (Okpisz i Prosiakiewicz wzgardliwie ruszą ramionami).

RZYCKI. — (pobożnie) Nikt z nas, panie tego, nie pewien, tego, dnia ni godziny...

PROSIKIEWICZ. — (dobitnie) Pozwolę sobie nawet spytać szanownego kolegę, co by miał znaczyć ów zwrot pański: „coście zrobili z Ogniskim“?

BARON SCHAFFENDORF. — A tak, cóż to ma znaczyć, panie łaskawy?

WSTRETNER. — To nawet, daruje pan, brzmiało nieco dziwnie w ustach gospodarza!

RZYCKI. — Hm! niby tego, panie kochany!

MIERNOCKI. — (łaskając się wzrokiem Okpiszowi) Do takich kości...

RENTOWICZ. — (niestropiony wcale) Panowie! Obrażać nie zwykłem, i nie potom panów tu prosił, że ktoś tam umarł. Rzecz zwykła, i nie byłoby nad czem debatować!

GŁOSY. — No, więc?

— No, więc?

RENTOWICZ. — Ale ja nie mogę, proszę panów, po-

zwolić, by na moje imię padł cień za cudze winy!
 Na mnie, na moje pismo, na cały obóz postępowy!
 BARON SCHAFFENDORF. — No, dobrze! ale co dalej?
 RENTOWICZ. — A to dalej, panie baronie! że bojkot
 przez was tu nam narzucony, nie jest tajemnicą! Co-
 raz więcej o nim mówią! coraz częściej się zgłasza-
 ją, pytając: co? dlaczego? czy to prawda? i co to
 ma znaczyć?
 GŁUPOWIŃSKI. — Tak, prawda, przychodzili i do
 mnie.
 CZYSTOPOLSKI. — Ma się rozumieć, i do mnie!
 KOZIOŁKIEWICZ. — (coraz niecierpliwiej się kręci na
 stołku).
 PROSIAKIEWICZ. — No, to cóż, wielki mi interes!
 Zaprzeczyć i basta!
 BAZGRALSKI. — A rozumie się, zaprzeczyć!
 RENTOWICZ. — (zjadliwie) Zaprzeczyć? łatwo to po-
 wiedzieć, ale trudniej, proszę panów, kazać wierzyć,
 zwłaszcza młodzieży.
 RZYCKI. — (gniewliwie) To już i młodzież, tego panie,
 swoje trzy, tego, grosze?
 CZYSTOPOLSKI. — A tak!
 RENTOWICZ. — I jak jeszcze! burzy się wprost i pie-
 ni! Spytajcie panowie pana Guzika, co mówiono o
 was na większym, choć jeszcze poufnym zebraniu!
 GŁOSY. — (niepokojne) A co?
 — Co?
 GUZIK. — (nieśmiało) Mówili, że pan Ogniski... jakoby
 umarł z głodu.
 TURCUŃ. — (bagatelizująco) A tak, była jakaś aluzyjka
 w którejś ze szmatek.
 RENTOWICZ. — (ofuknie Guzika) Nie osładzaj pan! mó-
 wili wprost i bez ogródek, żeśmy go zamordowali,
 świadomie i rozmyślnie, z pobudek brudnych, oso-
 bistych albo koteryjnych!
 PROF. DŁUBALSKI. — Co pan mówisz??
 RENTOWICZ. — Tak było. I gorzej! Wołano o zbro-

dnię! o biały terror! Żądano zwołania wiecu, pu-
 szczenia odezwy! Wytykano „kacyków prasy“...
 wielu z pośród szanownych obecnych...
 MIERNOCKI) — Co pan mówisz?
 DRUMLA)
 RZYCKI. — Skaranie boskie z, tego, temi dziećmi!
 PROF. DŁUBALSKI. — (chwytając się za głowę) Straszne
 rzeczy! straszne rzeczy! a mówiłem: może genjusz...
 a mówiłem! Straszne rzeczy! straszne rzeczy!...
 BARON SCHAFFENDORF. — Będziesz cicho? sa-
 cré bleu! Kassandha! hychło w czas!
 GŁUPOWIŃSKI. — (zastraszony, nagle się obruszy) W czas
 czy nie w czas! Panu Baronowi dobrze, pan Baron
 z pism nie żyje. A my? a ja?... moje pismo? moja
 opinia?
 PROSIAKIEWICZ. — (z godnością) No, można stać po-
 nad opinią...
 BARON SCHAFFENDORF. — Jakichś tam smahkaczy,
 panie? blambeków?
 RENTOWICZ. — Tu nie o „smarkaczy“, panie baronie,
 idzie! Aleć te „blambeki“ poruszają jutro całe miasto...
 Wiesz pan dobrze... Ponad opinią, kolego Prosiakie-
 wicz, stać potrafię bez pańskich wskazówek, ale tu
 o coś większego idzie.
 DRUMLA. — (na dobre już zalekły) No przecie, no prze-
 cie!
 BAZGRALSKI. — Naturalnie!
 GŁUPOWIŃSKI. — Oczywiście.
 MIERNOCKI. — A powaga sier kierowniczych?
 TURCUŃ. — A wiara w posłannictwo prasy?
 GŁUPOWIŃSKI. — A byt pism ideowych?
 RZYCKI. — Skaranie Boskie z temi, panie, dziećmi...
 RENTOWICZ. — I gorzej, panowie! jeśli już wiedzieć
 chcecie. Grożono osobom redaktorów. Grożono wy-
 dawcom. Wymieniano nazwiska! wołano: terror za
 terror!!
 OKPISZ. — Co pan mówisz?

WSTRETNER. — (prerażony) Być nie może!

PROSIKIEWICZ. — (tracąc na pewności) Czyżby śmiali? Guzik! słyszałeś to sam?

GUZIK. — Co do słowa, panie redaktorze!

OKPISZ. — Słyszane rzeczy?! nam grozić? nam grozić?

WSTRETNER. — Gdzie ład? gdzie porządek?

RZYCKI. — Obraza Boska! obraza Boska... To są, panie tego, skutki waszych postępowych, tego, idej. To są, tego, skutki, tego, wyzwalania, panie, młodzieży... Obraza Boska!...

RENTOWICZ. — Nie, drogi panie! to proste skutki narzuconego nam przez was bojkotu, zakneblowanie przez was ust zdolnemu poecie, kto wie, może geniuszowi!

PROF. DŁUBALSKI. — Straszne rzeczy! Straszne rzeczy! a mówiłem... no, i poco to było? Poco to było?

GŁOSY. — Co robić?

— Co robić?

RENTOWICZ. — To już rzecz wasza. Zrobiliście—odrabiajcie! Ja ręce umyвам. Musicie, sędzę, przyznać, że spełniłem więcej, niż byłem powinien, wobec ludzi innych stronnictw! Uprzedziłem was i teraz oświadczam, że solidarność z wami w tej sprawie mam za zupełnie skończoną.

CZYSTOPOLSKI. — (z pośpiechem) I ja, ma się rozumieć!

GŁUPOWIŃSKI. — Ja także, darujcie, panowie!

PROSIKIEWICZ. — (pojednawczo) Któż się upiera przy bojkocie?

TURCUŃ. — Niema idei...

OKPISZ. — Skoro nie żyje...

PROF. DŁUBALSKI. — I poco to było? Poco to było? (lamentował wciąż, chwytając, nie poraz pierwszy, odwracając się odeń barona).

BARON SCHAFFENDORF. — Odczepisz się? Jaż go

bojkotowałem, czy co? *Sacré nom de nom!* Krzycz do innych!

KOZIOŁKIEWICZ. — (Nie wiedział już, jak się ukryć).

MIERNOCKI. — No przecie nie ja!

DRUMLA. — I nie ja!

BAZGRALSKI. — I nie ja.

RENTOWICZ. — (złośliwie się uśmiechał, obwodząc ich wzrokiem błyszczącym).

WSTRETNER — OKPISZ. — Przecie nie my chyba zaczęliśmy...

TURCUŃ — PROSIKIEWICZ. — A no, i nie my.

RENTOWICZ. — (nie krył złośliwej radości, zerkając w stronę Koziołkiewicza).

PROF. DŁUBALSKI. — A któż? a któż?... Koziołku! (wrzasnął nagle, trafiawszy nań wzrokiem przypadkowo) u ciebie to było?

KOZIOŁKIEWICZ. — (odburknął wściekły) Idź do diabła!

RENTOWICZ. — (w głos zarechotał).

BARON SCHAFFENDORF. — A, bah oui! Toś ty! toś ty, Koziołku, inicjował.

GŁOSY. — A tak; to Koziołkiewicz!

— Koziołkiewicz!

— Naturalnie!

— Oczywiście! któżby inny?

— Nie pierwszego promotor skandalu!

— Paneś nas zwoływał!

— Pan jeden znałeś rękopisy!

PROF. DŁUBALSKI (najgłośniej, rzucając się ku niemu) Gdzie rękopisy? Gadał, gdzie rękopisy? Gadał! gdzie rękopisy geniusza?

(Za profesorem ruszyli ku niemu inni, krzycząc, nacierając groźnie, wymachując rękami, w zgiełku przerażającym).

GŁOSY. — (zewsząd, równocześnie) To tyś nas informował!

— Paneś straszył!

— Podburzał!...

— To twoja sprawa!

— Twoja robota!

(Ogłuszony i potrącany, nie mogąc znieść tego zgiełku, odwrócił się staruszek Rzycki do ściany, zatykając uszy i wołając błagalnie)

RZYCKI. — Ciszej, kochani!... ciszej! poco ten hałas? panie tego, poco ten hałas?
(Nikt go nie słyszał. Nikt nań uwagi nie zwracał).

GŁOSY. — (do Koziółkiewicza) Radź teraz!

— Radź! radźże!!

— Gadał! co milczysz?

— Odezwiąj się! gadał!

(Porwał się wreszcie Koziółkiewicz, straciwszy cierpliwość).

KOZIÓLKIEWICZ. — Do diabła! (huknął) zmilkniecie??

RZYCKI. — (jękliwe) Poco ten hałas, kochani! poco ten hałas?

KOZIÓLKIEWICZ. — (głośniejsze jeszcze, waląc pięścią w stół) Dacież powiedzieć? Zawiele już tego! Prawda: mówiłem, ostrzegałem, ale z życzliwości!

GŁOSY. — Ładna życzliwość!

— Dziękujemy!

RZYCKI. — Ciszej, kochani, ciszej!...

KOZIÓLKIEWICZ. — Uprzedziłem was, i tylko. Samiście uradzili! Sami zdecydowali! Ja milczałem.

BARON SCHAFFENDORF. — To, to prawda.

GŁOSY. — Milczałeś?? tak! naturalnie! bo ci tak było wygodniej.

— Ty tak zawsze! lis farbowany!

RZYCKI. — Ciszej, dzieci, ciszej!...

GŁOSY. — Aleś zaczął!

— Zacząłeś, czy nie? gadał!

— Dopiąłeś pan swego!

— Zrobiłeś, coś chciał!

— Teraz odrabiaj!

— Rozplątuj!

— Byłeś pan mądry wówczas, bądźże i teraz!

RZYCKI. — Poco ten hałas?... poco ten hałas? panie tego.

(Uspokoilo się powoli).

(Ten i ów jeszcze sarkał).

PROF. DŁUBALSKI. — (tarmosił niemiłosiernie brodę, sapiąc jak hipopotam).

(Czekali wszyscy jakiejś mądrej, zbawiennej rady, nie wierząc w zmartwienie, by się znaleźć mogła).

(Tylko staruszek, do ściany wciąż odwrócony, z uszyna zatkniętymi powtarzał błagalnie i płacźliwie):

RZYCKI. — Ciszej, dzieci, ciszej!... Ciszej, dzieci, ciszej!...

BARON SCHAFFENDORF. — (zniecierpliwiony, pociągnie go zlekka za surdut) Już, ojcze, już.

RZYCKI. — (odwrócił się strachliwie) A? Co?... Już? (spytał, dostrzegłszy uspokojenie) Chwalaż Bogu! Chwalaż Bogu!

(Opadnie na kanapę wyczerpany).

(Po chwili do Rentowicza, zdejmując zapotniałe okulary).

RZYCKI. — No, radźże, panie kochany!

RENTOWICZ. — Cóż ja panom poradzić mogę?

Macie tak dzielne głowy, jak szanowny inicjator (rzuci zjadliwie wzrok w stronę Koziółkiewicza).

GŁOSY. — (chórem) Niech go diabli, z jego głową!

RENTOWICZ. — Cóż ja tu mogę? Zaledwie wiem, co sam mam czynić... co, zresztą, dziś jeszcze uczynię... (Zdębieli).

GŁOSY. — Dziś??

— Mój panie, a powiedzże pan i nam!

— Bądź pan zbawicielem!

RZYCKI. — Hm! hm!

KOZIÓLKIEWICZ. — Dziś? (zastanawiał się, tknięty czymś) Aha! dziś! tak, tak! rzecz prosta... nic innego, tylko to, to właśnie.

(Wpatrz się w zmienioną nagle jego postać).

GŁOSY. — Co: to? Co?

— Masz coś, to gadał!

- Gadajże, do stu katów!
- KOZIOŁKIEWICZ. — (piorunująco, pewność odzyskawszy) Dacież mi przyjść do słowa, nareszcie, czy nie? Cały ten wrzask wasz zupełnie zbyteczny, zajęcze wy serca!
- RZYCKI. — Bo i pocóż ten hałas, panie tego? Narodzić się zgodnie, tego ten, spokojnie, jak Bóg, tego, przykazał...
- BARON SCHAFFENDORF. — Ciekawym, ma f o i, cóżes wymyślił, dyplomato?
- KOZIOŁKIEWICZ. — Co? o! nic prostszego! nic prostszego! aż dziwna samemu, że teraz dopiero przyszło.
- RENTOWICZ. — Ciekawym (mruknął pod nosem).
- KOZIOŁKIEWICZ. — Słuchajcież! puszczamy jutro wstępny artykuł, mocny, rozumiecie?... o tem, jak to u nas twórczość literacka traktowana jest po macoszemu!... W jak niskiej są cenie książki i pisma...
- CZYSTOPOŁSKI — WSTRETNER — OKPISZ. — (zgodnie) To, to!
- KOZIOŁKIEWICZ. — A i to, jak mało, jak haniebnie mało publiczność kupuje!
- RZYCKI. — (kiwając głową) Święta prawda.
- KOZIOŁKIEWICZ. — W jakiej biedzie żyją u nas najpoczytniejsi nawet pisarze!
- MIERNOCKI — BAZGRALSKI. — No tak! no tak!
- KOZIOŁKIEWICZ. — Jak często przymierają głodem! zwłaszcza poeci!...
- DRUMLA. — Uhu!
- KOZIOŁKIEWICZ. — A przecież oni to u nas tworzą szczyt narodu! oni są solą ziemi naszej!...
- DRUMLA. — (szczerze we własnych rosnąc oczach) Tak jest!
- KOZIOŁKIEWICZ. — Oni najwyższym wyrazem duszy polskiej!...
- PROF. DŁUBALSKI. — (entuzjastycznie) Najwyższym i najprawdziwszym.

- GŁUPOWIŃSKI. — Nieinaczej!
- KOZIOŁKIEWICZ. — Oni są wielkimi ofiarnikami, wytaczającami ostatnią krew z serca za naród cały!...
- RENTOWICZ. — (zjadliwie) Biedny naród.
- KOZIOŁKIEWICZ. — Dźwigającami na barkach swych przeciężki krzyż pański na naszą krwawą Gólgotę!
- DRUMLA. — (wzruszony) Tak, tak.
- RZYCKI. — (rozczulony) Zaczne masz, tego, panie, serce, kochany!...
- KOZIOŁKIEWICZ. — (z przekąsem) Gdy padną znużeni — rozrzewnia się wtedy społeczeństwo i wieńce im plecie laurowe!... Ale za życia ich, zaliż pamięta, że oni jeść przecie muszą, i ciało swe ziemskie czemś okryć, i dach mieć jakowyś nad głową strudzoną?
- BARON SCHAFFENDORF. — (zeicha) Dophawdy, zaczynasz mnie hożrzewniać.
- KOZIOŁKIEWICZ. — Czy spieszy z pomocą na wydanie tworów ich wielkiego ducha?... Czy spieszy bo-daj wydane rozkupić?
- GŁUPOWIŃSKI. — (z westchnieniem) Gdzieżby zaś!
- KOZIOŁKIEWICZ. — Nie! w niebaczności swej i nie-dbalstwie, tych właśnie tworów szczytowych wcale czytywać nie chce! Nie raczy ich kupować!.. Leżą te książki święte stosami na półkach księgarskich!
- WSTRETNER. — O! pod sam strop!
- KOZIOŁKIEWICZ. — I cóż dziwnego, pytam, że bankrutujący wydawca odmawiać musi nowym siłom, jeszcze nieznanym?
- OKPISZ. — No, właśnie! co oni chcą?
- KOZIOŁKIEWICZ. — Cóż, pytam, dziwnego, że pisma w minimalnych zaledwie dozach zamieszczać mogą drobne li poezje? a i to wbrew opinii!...
- PROSIKIEWICZ. — Na stratne.
- MIERNOCKI. — (do Drumli) A widzisz!
- KOZIOŁKIEWICZ. — Poprostu dla honoru tylko... że więc zmuszone są odrzucać setki rękopisów.

PROSIAKIEWICZ. — (grzmiąco) Tysiące, dziesiątki tysięcy!

KOZIOŁKIEWICZ. — ...Rękopisów ogromnej nieraz wartości, rzeczy wprost genialne!...

PROF. DŁUBALSKI. — (biorąc się za głowę) Straszne rzeczy! Straszne rzeczy!

KOZIOŁKIEWICZ. — A gdy któryś z tych poetów, w strasznej chwili zniechęcenia, targnie się na życie...

RZYCKI. — (wrzaśnie) Grzech! życie, panie, w ręku Boga!

KOZIOŁKIEWICZ. — albo skona z głodu, nieświadoma rzeczy młodzież, gromy ciska na nas, na ktytyków, na pisma, na wydawców... jak gdyby od nas zależało zmusić społeczeństwo do dbałości o swych wie-szczów... do sięgania ku szczytom i źródłom duchowym... to nasze społeczeństwo, tak ospałe duchem, tak myślą leniwe?

PROSIAKIEWICZ. — (niepewny efektu) Czy nie za ostra, uważasz, przymówka?

KOZIOŁKIEWICZ. — Nie! tak właśnie wypada!... Ale młodzież, nasza szlachetna młodzież polska ma swoją słuszość!

RZYCKI. — Czy niezbyt, tego, schlebiasz dzieciakom?

KOZIOŁKIEWICZ. — Nie!... ma swoją słuszość, — bo wielu, sądząc wedle siebie, myśli w dobrej wierze, że wszyscy tak łakną poezji, jak ona, że wszyscy tak nowych czekają genjuszów...

MIERNOCKI — DRUMLA. — (zgodnie) To zbyt cenne! to zbyt cenne!

RZYCKI. — (mocno niezadowolony) Do starych, tego, raczej nawołuj! Do Adama, panie!

KOZIOŁKIEWICZ. — (gniewnie) Ależ, ojcze szanowny! tu trzeba grom od was odwrócić! zapominasz, ojcze! A i wy! (huknie do tamtych) jużście zapomnieli?

DRUMLA. — (stulając się) Prawda!

BARON SCHAFFENDORF. — (z zachwytem) Nno! polityk z ciebie!

RENTOWICZ. — (wydymając usta) Ppolityk! i to już wszystko, panie polityku, co masz pan tutaj do zrobienia?

CZYSTOPOLSKI. — Pan myśli, że oni się na to wezmą? oj, panie!

RENTOWICZ. — Że oni po tym pańskim „mocnym“ artykule darują wam odrazu bojkot, o którym dobrze wiedzą?

CZYSTOPOLSKI. — (dobijając) I śmierć wielkiego poety?

GUZIK. — (ośmiela się wtrącić) Została, mówią, żona w nędzy!

GŁUPOWIŃSKI. — O, do diabła!

DRUMLA. — Coraz gorzej!

KOZIOŁKIEWICZ. — (strapiony) Tegom nie wiedział. (Zato ożywi się profesor).

PROF. DŁUBALSKI. — Co pan mówisz? (rzucił się ku Guzikowi) Jest żona? gdzie mieszka? gdzie?

GUZIK. — Niestety, nie wiem (rozstawił ręce, wstydząc się swej ignorancji).

(Profesor obrócił się na pięcie i skoczył na Koziołkiewicza).

PROF. DŁUBALSKI. — Ty miałeś rękopisy! ty musisz wiedzieć, gdzie ona mieszka! (wołał, szarpiąc go za odzież).

KOZIOŁKIEWICZ. — A dajże mi raz spokój! do resztyś zgłupiał! skądże ja mam pamiętać?... na Czystej gdzieś, czy co...

GUZIK. — (śpiesznie) Byłem, proszę pana, już tam nie mieszka. Ale ja się dowiem, dowiem! (upewniał profesora usłużnie).

PROF. DŁUBALSKI. — (obejmując go już i ciągnąc do kątów) Mój panie złoty, taką przysługę...

CZYSTOPOLSKI. — (idąc za nimi natrętnie) Panie Guzik! panie Guzik!

GŁUPOWIŃSKI. — (krzycząc przez cały salon) Kolego

Guzik! czekam pana w redakcji, jutro i co dnia do południa.

RZYCKI. — (tymczasem) Żona?... żona?... to, panie tego, źle! to źle! hm...

DRUMLA. — (zależniony) Coraz gorzej! coraz gorzej!

PROSIAKIEWICZ. — (nagle) Ależ przeciwnie! Kobieta ta spada nam wprost z nieba.

BARON SCHAFFENDORF. — Jak anioł, che-che-che! słyszysz, Dhumla!

RZYCKI. — (strofujaco) Nie żartuj baron, tego, z nie-szczęścia, tego...

PROSIAKIEWICZ. — (grzmiaco, szukając wzrokiem repoterę) Guzik! odnajdziesz mi panią Ogniską!

GUZIK. — Tak jest, panie redaktorze!

KOZIOŁKIEWICZ. — (podchwytyjąc w lot myśl tamtego) Masz redaktor rację! Naprawdę, spada nam z nieba. Nie wiedziałem wcale o jej istnieniu. A właśnie ona, właśnie ona najbardziej nam pomoże!

RENTOWICZ. — (szydząc) To jeszcze zobaczymy! zbyt panu wszystko dziś łatwo przychodzi!

KOZIOŁKIEWICZ. — (odcina się) Zato innym jak z kamienia! (zaciera ręce zupełnie już z siebie zadowolony i pewny swego środka, tajnego jeszcze innym).

KOZIOŁKIEWICZ. — Panowie! tamto był wstęp! A oto i całość.

GŁOSY. — (skwapliwie) Słuchamy! słuchamy!

KOZIOŁKIEWICZ. — Odszukamy panią Ogniską.

GUZIK. — Tak jest!

KOZIOŁKIEWICZ. — Panowie wydawcy zwrócą się do niej natychmiast z propozycją jaknajszybszego wydania dzieł poety!

WSTRETNER. — Dzieł? czyż jest ich wiele?

KOZIOŁKIEWICZ. — Tak! sądzę, kilka tomów.

OKPISZ. — Kilka tomów?! Pan chyba żartuje? Któż je będzie kupował?

WSTRETNER. — Kilka tomów nieznanego autora? poety zgoła nieznanego?

OKPISZ. — (ironicznie) A któż poniesie kosztą?

KOZIOŁKIEWICZ. — Wy, rzecz prosta.

WSTRETNER. — (z ukłonem) Uprzejme dzięki!

KOZIOŁKIEWICZ. — Dajże pan skończyć! Wy prowizorycznie, zresztą, publiczność. Ogłosicie prenumeratę.

OKPISZ. — Żartuje pan! dla piętnastu abonentów?

KOZIOŁKIEWICZ. — Już o to was niech głowa nie boli! Od czegoż, do kata, my jesteśmy? Bojkot tośmy mieli siłę przeprowadzić, a nie zdołalibyśmy zmusić do kupienia paru tomików?

TURCUŃ. — Nizko pan wydawca szacuje dziennikarstwo, jako siłę społeczną.

PROSIAKIEWICZ. — (tonem nie dopuszczającym wątplenia) Ja wam za to ręczę.

BARON SCHAFFENDORF. — Od czegoż, enfin, heklama?

GUZIK. — (skromnie) Udatne wzmianeczki?

GŁUPOWIŃSKI. — Fragmenty dzieł po pismach?

TURCUŃ. — Artykuły w dziennikach?

BAZGRALSKI. — Recenzyjki?

DRUMLA. — (nie dając się pominąć) Wierszyki?

WSTRETNER. — (ofuknie gó) Kto je czytuje?

OKPISZ. — Wszystko to niepewne.

MIERNOCKI. — Ależ, panie drogi, sama sensacja...

(Pokrył znów wszystkich głos Koziołkiewicza).

KOZIOŁKIEWICZ. — Uderzymy w wielki dzwon żałoby i lamentu! Zmarł genjusz zapoznany!... Zmarł z winy obojętności ogółu! Zmarł w lat sile i w pełni twórczego rozwoju! Zmarł sierocąc żonę w nędzy, twórcę naród cały!... I jeśli winą społeczeństwa przedwczesny jego zgon, to zbrodnią byłoby nad zbrodnię oddać zatraceniu olbrzymi jego twór, karmiący pokoleniom, okrywający naród sławą po wiek wieków!...

(Obruszy się staruszek).

RZYCKI. — No, to już, panie tego, słowa świętokradzkie!

BARON SCHAFFENDORF. — (gniewnie) O jakimś tam pyszałku! he?

KOZIOŁKIEWICZ. — To genjusz! już ja wam to mówię!

RZYCKI. — Et, nie bluźnij, panie tego...

BARON SCHAFFENDORF. — Hozumie się! genjusz! boć już umahł.

GŁUPOWIŃSKI. — Pomyśl pan! wynosisz go nad wszystkich!

MIERNOCKI. — Gasisz naszą wziętość!

KOZIOŁKIEWICZ. — Milcz! wolisz, by cię zbito?... Zrozumiećcież, panowie! o bezpieczeństwo tu wasze idzie! o rehabilitację nas tu wszystkich!

GŁOSY. — To prawda.

— To prawda...

BAZGRALSKI. — (usiłując jeszcze protestować) Aleć zaw-sze...

KOZIOŁKIEWICZ. — (przerywa bez ceremonji) Nie bójcie się! W rzeczach Jego publiczność nie zagustuje! Zbyt wielkie! Zbyt myślą potężne! zbyt nowe. W zestawieniu jeszcze skorzystacie (rzucił im wzgardliwie).

BARON SCHAFFENDORF. — (śmiał się, patrząc drwiąco po tamtych, gdyż zbyt wysoko się cenił, by brać coś z tego do siebie) che, che, che! pyszna zachęta!... é p a n t! é p a n t!

KOZIOŁKIEWICZ. — Zresztą, urządzenie zbiorowe odczyty! obchody... napiszecie ody! kantyczki! imiona wasze będą drukowane tuż obok imienia genjusza, rozlepiane po całym mieście! po kraju całym! skorzystacie na dobre! (wołał drwiąco i zachęcająco równocześnie).

(Naogół zachwyciło to ich ogromnie).

TURCUŃ. — Już się pan nie bój, nie spudłujemy!

MIERNOCKI. — Wybornie, doskonale! (zacierał ręce, zapomniawszy protestów swych przed chwilą).

BAZGRALSKI. — Odbijemy sobie jego wymuszoną chwałę!

DRUMLA. — (zawstydzony i poniżony) No, dobrze, dobrze! już daj spokój!
(Zas Baron wypalił z rodzajem wzgardliwego podziwu).

BARON SCHAFFENDORF. — Wiesz, Kozioł! jesteś bezczelny!

TURCUŃ. — To nasz fach!

KOZIOŁKIEWICZ. — Czyż nie jesteśmy sami swoi?

RENTOWICZ. — (nadymając się wzgardliwie) No, niby niezupełnie!

KOZIOŁKIEWICZ. — (ze specjalną intonacją) Panie Rentowicz! nie grajmy w ciuciubabkę! (a potem o ton niżej, patrząc mu wprost w oczy) Może coś panu przypomnieć?

(Zmieształ się „redaktor postępowy”; zadrgała mu twarz nerwowo i spuścił oczy).

(Baron znacząco chrząka, nie tając zjadliwie radosnego uśmiechu).

(Przez ten czas Wstrętner i Okpisz naradzali się żywo na uboczu).

KOZIOŁKIEWICZ. — (konkludując) Oto więc cały plan, panowie! Tylko żywo do dzieła! natychmiast! od jutra!

CZYSTOPOLSKI. — (kładąc rękę na stole) Dobrze: ja wydam.
(Ośłupieli).

GŁOSY. — (chórem) Pan?

OKPISZ. — (wyniosłe) Czemuż to pan, panie Czystopolski?

WSTRĘTNER. — Prosił kto pana? traktuje z panem? umawia się?

BARON SCHAFFENDORF. — (wściekły) Kozioł! to ty na młyn tego pana lałeś? he?

OKPISZ. — (obrażony) Jak to mamy rozumieć, panie Koziółkiewicz?

(Obruszy się krytyk).

KOZIOŁKIEWICZ. — A idźcież wszyscy do kata! (wrzaśnie gromowo). Rozumiejcie, jak się waszym mózdzkom spodoba!... Jeszcze wam mało? Podałem ratunek! plan całkowity, realny, zbawczy...

GŁOSY. — To prawda!

— To prawda!

— Dziękujemy Ci!

— Ty zawsze najtęższy!

KOZIOŁKIEWICZ. — Wdzięcznym za uznanie. (skrzywił się drwiąco) Wskazałem każdemu, co ma zrobić! A kto tam już wyda, darujcie, to mi zupełnie, ale to najzupełniej obojętne!... Owszem, (drwił w oczy wydawcom) niech licytują: wdowa na tem nie straci.

BARON SCHAFFENDORF. — Oui, c'est bien vrai! ale wiesz, swoją dhoga...

(Przerwały mu spieszenie wyrzucane słowa Czystopolskiego).

CZYSTOPOLSKI. — Przyznają panowie, że ja mam tu pierwszeństwo!

OKPISZ. — (lekceważąco) Niby czemu to?

CZYSTOPOLSKI. — Niech panowie raczą przypomnieć, czy ja nie chciałem już wtedy wydać? no nie?

WSTRETNER. — Przedawniona nieco racja, łaskawo!

CZYSTOPOLSKI. — Czy ja tu nie jestem niewinnie poszkodowany w opinii młodych?... No nie?

BARON SCHAFFENDORF. — Oppinja wydawcy! także!

MIERNOCKI. — (zcicha) Jeszcze takiego!

CZYSTOPOLSKI. — Czy nie ja dziś pierwszy zgłosiłem propozycję, kiedy tamci panowie stawiali tyle obiekcji, no nie?..

PROF. DŁUBALSKI. — To słuszna! to słuszna!

KOZIOŁKIEWICZ. — (niecierpliwie) O! moi drodzy, na-

prawdę, to nam obojętne. No i nie od nas zresztą zależy!

GŁOSY. — Przecie!

KOZIOŁKIEWICZ. — Kłóćcie się z sobą, owszem! ale gdzieindziej! Dajcie nam dziś tu spokój! Ubiegajcie się przed panią Ogniską! Ja mam dość! dobranoc!

GŁOSY. — Dość!

— Dość!

RZYCKI. — (wstając) Tak, już dość, panie tego...

(Wydawcy starli się ze sobą na uboczu, żywo gestykulując).

(Inni zebrani zaczynają się żegnać i wychodzić z salonu).

(Baron i Rzycki wstrzymali Koziółkiewicza, dziękując i gratulując).

RZYCKI. — Już ty tam, panie tego, masz główkę, ho-ho!

BARON SCHAFFENDORF. — Ma foi, powinieneś być phemjehem.

(KONIEC AKTU TRZECIEGO).

AKT IV.

I MOJE BĘDZIE...

Nieprzyjaciół kupa
Już laźla, jak robactwo na świeżego trupa!

Mickiewicz.

MARJA. — (blada i wyczerpana) Bronku! jak się to strasznie dłuży... Bronku! powiedz, skończy się to kiedy?

BRONISŁAW. — Dziś — jutro... Marjo! obaczysz! Jeszcze, jeszcze chwilę pocierp!

MARJA. — Dziś-jutro?... a jeśli rachuby zawiodą?... Jeśli zawiodą rachuby, co wtedy?

BRONISŁAW. — Siostro! to już być nie może, mówiłem ci. Zrozumiej! uspokój się!

MARJA. — Ja nic, nic nie wiem...
(Właśnie zapukano do drzwi, lekko, bojaźliwie).

MARJA. — (Drgnęła, zerwała się z fotela).

BRONISŁAW. — Spokojnie!
(Pociągnął ją mocno za rękaw i siłą prawie posadził z powrotem). Spokojnie i baczność: to oni!
(Zapukano ponownie, jeszcze delikatniej).

MARJA. — Ach! ktoś tam znowu? (wyrzekła z sercem bijącym ostateczną niecierpliwością, a tonem ostatecznego znecierliwienia) Proszę! (dodała po chwili).

(Wsłuchując się jak może najciszej i najzgrabniej profesor Dłubalski, cały czarno, z ogromnym cylindrem w ręku, z płaszczem, zwieszonym na łokciu i nieco wlokącym

się po ziemi. Zażenowany własnym natręctwem, którego przezwyciężyć nie był w stanie, i wystraszony sam śmiałością swego kroku, na który niewiadomo jak się zdobył — nadeptał w progu poję płaszcza, potknął się i upuścił cylinder. Straciwszy do reszty niezbyt wielką już zazwyczaj precyzję ruchów, schylił się po cylinder zbyt pośpiesznie, potknął się znowu jeszcze silniej i z haniebną gestykulacją ledwie się zdołał powstrzymać od rozciągnięcia się na ziemi, kopnąwszy jednak rzetelnie nieszczęsny ów cylinder, który frunął aż niemal do stóp Marji).

(Bronisław i Marja, mimo całej powagi, ledwie zdołali wstrzymać zrywający się śmiech).

(Wreszcie ujarzmiwszy swe eleganckie przykrycie głowy, czerwony i sapiący, zaczął:)

PROF. DŁUBALSKI. — Pani dobrodziejka wybacz... Wybacz szanowna pani dobrodziejka... Jestem Dłubalski...

MARJA. — (lekko wzruszy ramionami, nie podnosząc oczu).

PROF. DŁUBALSKI. — Profesor Dłubalski, historyk literatury... (dobywał ostatnich resztek odwagi).

MARJA. — (znużonym głosem, wskazując gestem ledwie znacznym krzesło obok) Czemże mogę panu służyć?

BRONISŁAW. — (cicho, lecz tonem znaczącym) Marjo!

MARJA. — Ach, tak... Jakżem nieuważna! — to mój brat.

PROF. DŁUBALSKI. — (rzucił się z impetem, chwytając jak dar podaną sobie dłoń) Bardzo mi przyjemnie... bardzo! bardzo! bardzo! (powtarzał dłuższą chwilę).

BRONISŁAW. — (podał mu krzesło).
(Usiedli).

(Dość długie milczenie).

PROF. DŁUBALSKI. — (kręci się, tarmosi brodę, uciera nos i pot z czoła, od czasu do czasu chrząknie).

MARJA. (milczy, wgrążona w fotel z głową odrzuconą i oczyma przymkniętymi, blada od wewnętrznych drżeń).

PROF. DŁUBALSKI. — (silniej chrząknie).

MARJA. — (uniesie powiek).

PROF. DŁUBALSKI. — Daruje pani dobrodziejka!... ja, tego, ja, tak... ja tu... z wielką, zbyt śmiałą, pani dobrodziejko, prośbą.

MARJA. — (milczy, wstrzymując dech usilny).

PROF. DŁUBALSKI. — Uwzględnić zechce szanowna pani dobrodziejka: stary romantyk, rozmiłowany, pani dobrodziejko, w wielkich tworach poezji...

MARJA. — (wcale nie zachęcająco) Tak?

PROF. DŁUBALSKI. — (tonem najbardziej przekonywającym) A tak, pani dobrodziejko! Prawdziwie, może się to pani dziwnem wydać!... że tak, nie znając wcale, żadnego utworu... niestety! tak, niestety! nie miałem szczęścia (w głosie miał żal szczery) tylko, tylko ze słyszenia, pani dobrodziejko!... Z tego, co wszyscy dziś mówią.

MARJA. — (tonem najwyższego zdziwienia) Mówią?

PROF. DŁUBALSKI. — Ależ jak, pani dobrodziejko!... jak! poprostu biją w dzwony!

MARJA. — (echowo, jak pod wrażeniem bolesnego przypominienia) Biją w dzwony.

PROF. DŁUBALSKI. — (przerażony) Przepraszam... przepraszam... przepraszam. Daruje pani dobrodziejka! Więc tego... proszę wierzyć... ja nie z głupiej ciekawości... nie dla tej manji szperacza... ale dla tego, pani dobrodziejko, ze szczerego pietyzmu i w interesie historii i społeczeństwa.

MARJA. — (z gorzkim uśmiechem) Społeczeństwa?? Tak, tak, społeczeństwa...

PROF. DŁUBALSKI. — Ach! pani dobrodziejko, cóż można od szarej masy ludzkiej wymagać?... Tyle, co od nieświadomego dziecka, proszę pani, tyle!.. ale przecie, ale przecie, tak jest! w społeczeństwa interesie mam obowiązek zachować... jakiś autografik, urywek rękopisu... garstkę dat autentycznych, z pierwszej ręki, zanim... zanim... tego...

MARJA. — Pocóż to? na co? Komu to potrzebne? Kto

się tem interesuje? Kto? Skoro dotąd niema nikogo, ktoby chciał utwory jego wydać?

PROF. DŁUBALSKI. — Nikogo dotąd? (zawołał, nie mogąc ukryć radości, i wnet łapiąc się za brodę, burknął do siebie) Hm!.. A, o to niech panią dobrodziejkę dziś głowa nie boli! Kłóć się, pani szanowna, wydawcy ze sobą o ten zaszczyt.

MARJA. — (radości nie mogąc pohamować) Co pan mówi? naprawdę?

PROF. DŁUBALSKI. — Tak jest, pani dobrodziejko! na własne oczy i uszy, widziałem, słyszałem. Lada chwila tu będą.

MARJA. — (udając przerażenie) Tu? Bronku! już ty ich przyjmiesz; ja, naprawdę, nie mogę.

BRONISŁAW. — Dobrze, Maryś!

MARJA. — (wstając wolno, jakby chcąc odejść).

PROF. DŁUBALSKI. — (przelekły, zawoła błagalnie) Przychyli się pani dobrodziejka? prawda? jakiś malutki autografik...

MARJA. — (skinie głową).

PROF. DŁUBALSKI. — Dziękuję, dziękuję serdecznie (całuje jej rękę) A może... może... nie dziś, pani dobrodziejko, z czasem... liściki?

MARJA. — (się zachnie) Panie Dłubalski... nigdy! rozumie pan? przenigdy!.. Nasze listy!? rozumie pan? to moje!... to moje tętno serdeczne! Do tego nic pańskiemu społeczeństwu!

PROF. DŁUBALSKI. — Tak, tak! oczywiście... (bąka przerażony) oczywiście, pani dobrodziejko... najmocniej, najmocniej przepraszam.

MARJA. — Co zaś do dat, udzieli ich panu brat mój, lepiej odemnie, pewniej. Prawda, Bronku?

PROF. DŁUBALSKI. — (całował rękę niezliczoną ilość razy, powtarzając): Dziękuję, serdecznie dziękuję! (Potem zwrócił się do Bronisława) Więc jak? zechce dziś pan dobrodziej?

BRONISŁAW. — (kiwnieniem odpowie).

(Marja idzie tymczasem do biurka, w przeciwnym kącie izby i szuka tam w papierach).

PROF. DŁUBALSKI. — (wyjął notes olbrzymi i olbrzymi stylograf. Przysiadł się do Bronka).

(Ktoś puka głośno).

MARJA. — (drgnie znów) Bronku! ktoś znowu!

BRONISŁAW. — (spojrzawszy na nią znacząco, głośno):
Proszę wejść!

(Wszedł po episjersku, na episjerskich, krzywych nóżkach, redaktor Głupowiński).

GŁUPOWIŃSKI. — Czy się nie omyliłem? Wszak tu pani Ogniska mieszka?

BRONISŁAW. — Do ciebie, Marjo!

MARJA. — (skłoni się lekko).

GŁUPOWIŃSKI. — (złoży jej szarmancko-episjerski ukłon).

PROF. DŁUBALSKI. — (wchłonięty w swój notatnik)

Więc dwudziestego szóstego, nieprawdaż?

GŁUPOWIŃSKI. — (na głos ten odwróci się) A! profesor już przy pracy? moje uszanowanie!

PROF. DŁUBALSKI. — (niechętnie) Już tu redaktor? witam! witam!

(Wymieni Marja z Bronisławem znaczące spojrzenie).

GŁUPOWIŃSKI. — (przysuwając się do biurka) Nie przeszkodzę?

MARJA. — (dalej przewraca papiery).

GŁUPOWIŃSKI. — (niezrażony) To te rękopisy? Ja właśnie w tej kwestji...

MARJA. — (roztargniona) W kwestji?

GŁUPOWIŃSKI. — Właśnie, proszę panią, i mam śmiałość przypuszczać, iż nie odmówi pani redaktorowi najpoważniejszego u nas pisma, poświęconego kultowi sztuki.

MARJA. — (z naciskiem) Wyznaję ze wstydem, że nie wiem, o jakim pan pismie mówi.

GŁUPOWIŃSKI. — O jakim? naturalnie, o mojem, proszę panią! o miesięczniku zaszczytnie już znanym...

MARJA. — (zżyma ramionami).

GŁUPOWIŃSKI. — Sam Żeromski, proszę panią, obiecał współpracownictwo.

MARJA. — Ach, tak! więc to Chimera?

GŁUPOWIŃSKI. — (niemal urażony) Ależ, proszę panią!

Chimera już upadła. — Nawiasem, prowadzona była niedbale! — Myśmy poszli dalej, proszę panią, wyżej, w mych „Echach Piramid“.

MARJA. — (czemś tknięta niemile) „Echa piramid“? tak, tak... coś sobie przypominam... jakżeż! jakżeż! „Echa piramid“... Tylko, proszę pana, Bogdan o piramidach nic nie pisał.

GŁUPOWIŃSKI. — (z lekkim uśmiechem) O, to najmniej-sza!

PROF. DŁUBALSKI. — (do Bronisława) A jaki krawat zwykł był nosić poeta? To bardzo, bardzo charakteryzuje człowieka.

GŁUPOWIŃSKI. — (do Marji) Nie trzeba, proszę panią, brać nazwę pisma dosłownie. Ot, taki sobie miły dźwięk! cóż to ma do treści?

MARJA. — W istocie, w istocie... Wspominał coś Bogdan...

GŁUPOWIŃSKI. — (nagle tracąc kontenans) Wspominał?

MARJA. — (patrzac mu wprost w oczy) Chciał bodaj coś umieścić...

GŁUPOWIŃSKI. — (starając się pokryć zmieszanie) Czyżby? w istocie... nic o tem nie wiem... ale to bardzo szczęśliwie! bardzo szczęśliwie!

MARJA. — Nic pan nie wie?... słyszysz Bronku, pan redaktor nic nie wie o przesłaniu mu utworów.

BRONISŁAW. — (ironicznie) A widzisz, mówiłem ci, że to być nie może, aby nie chciał ich umieścić.

GŁUPOWIŃSKI. — (brnąc dalej beczelnie) W istocie... tego być nie mogło, ależ przeciwnie, byłbym zawsze więcej niż chętnie, skwapliwie.

MARJA. — (radośnie niemal, znalazłszy coś w biurku) Naprawdę? nie uwierzy pan, jak to mnie cieszy. (nagle,

patrząc mu ostro w oczy) Owszem, dam panu „Skalę“, ale warunek, że wydrukuję pan wraz z nią ten oto list pański, „Skały“ dotyczący.

GLUPOWIŃSKI. — (doszczętnie zmieszany, bełkocze) List, list... „Skalę“.

PROF. DŁUBALSKI. — (odrywając się od notesu) List? list redaktora do poety?...

MARJA. — Tak, bardzo ciekawy! niezwykle oryginalnie pojmujący formy poetyckie!

PROF. DŁUBALSKI. — (wyciągając ręce błagalnie ku temu listowi) Pani dobrodziejko... pani dobrodziejko!..

GLUPOWIŃSKI. — Ależ, proszę panią! ależ... ależ... (bąkał).

BRONISŁAW. — Panu profesorowi chętnie doręczam oto dosłowną kopję, którą sobie pro memoria sporządziłem.

PROF. DŁUBALSKI. — (Chwytając papier skwapliwie) Serdeczne dzięki! serdeczne dzięki!

GLUPOWIŃSKI. — Ależ...

BRONISŁAW. — Tylko, panie profesorze, warunek: ogłosi go pan równocześnie z wydaniem dzieł Bogdana.

PROF. DŁUBALSKI. — Tak, tak! (nie słyszał właściwie, o czym była mowa, tak go schłoneła ciekawość do otrzymanego dokumentu).

GLUPOWIŃSKI. — (wciąż mamrotał) ależ...

MARJA. — (Trzymając w ręku list ów i parę kartek rękopisu) Więc nie kwapi się pan redaktor na ten utwór? Istotnie, cóż on ma wspólnego z „Echami Piramid“? (schowała z powrotem do szufladki).

GLUPOWIŃSKI. — (zdobывая się na zdanie jakiegoś) Ależ... sam Żeromski obiecał!...

PROF. DŁUBALSKI. — (nad listem) Fatalne! fatalne!

MARJA. — Prawda?
(Ktoś znowu zapukał do drzwi).

BRONISŁAW. — Proszę!

MARJA. — (kiwnawszy sztywnie głową) Żegnam pana redaktora.

GLUPOWIŃSKI. — Ależ... (zaczął i wnet ujrawszy wchodzącego Czystopolskiego, rzucił się ku niemu, jakby od niego spodziewając się pomocy) Panie wydawco! panie wydawco!

MARJA. — (mimowoli) Nareszcie!

CZYSTOPOLSKI. — (usuwając ręką redaktora) Przepraszam! moje uszanowanie! Ja tu do pani Ogniskiej! Jestem Czystopolski.

MARJA. — (szczerze tym razem) Bardzo mi przyjemnie! (Gestem zapraszała go do zabrania miejsca przy biurku).

PROF. DŁUBALSKI. — (z pasją, wyczytawszy coś dobrego w liście) Także esteta! A niech cię! (Tymczasem odpalony redaktor próbuje jeszcze wskórać coś u Bronisława).

GLUPOWIŃSKI. — (grzeczniutko) Proszę łaskawego pana!

BRONISŁAW. — Czem jeszcze mogę panu służyć?

GLUPOWIŃSKI. — Zechce łaskawy pan uwzględnić... mnie naprawdę, naprawdę, bardzo zależy na zamieszczeniu paru fragmentów... no, tej „Skały“... (z trudnością mu przyszło ten wyraz wykrztusić) Ale uwzględni pan... jako redaktor takiego pisma, nie mogę się przecie ośmieszać...

BRONISŁAW. — (wzrusza ramionami) Zrezygnuj pan z fragmentów...

PROF. DŁUBALSKI. — (chowając papier do notesu, nacie-rał z groźbą niemal w głosie) Taki list! taki list!

GLUPOWIŃSKI. — Milczże już choć profesor.

(Nie wiedział, co dalej począć, a nie mógł zdecydować się na odejście z kwitkiem w tak ważnej dla siebie sprawie).

MARJA. — (głośno do Czystopolskiego) W sprawach pieńiężnych zechce pan z bratem porozumieć się... Mnie trudno... Bronku, pan wydawca ma z tobą do pomó-wienia!

BRONISŁAW. — Służę. Właśnie skończyłem z panami, prawda?

GŁUPOWIŃSKI. — (drepce niepyszny, coś mamrocząc).

PROF. DŁUBALSKI. — Tak, na dziś tak! (mówił radośnie) Do widzenia, drogi panie! do widzenia, do widzenia! (potrząsał ręką Bronisława) A obietniczka, pani dobrodziejko? (Podszedł ku Marji z całą elegancją, na jaką stać było jego profesorski organizm).

MARJA. — (z uśmiechem podaje mu zwitek, obserwując z pod oka Głupowińskiego) Oto, panie profesorze, autograf „Skąły i... parę listów Jego do przyjaciół, które sobie kiedyś odpisałam.

PROF. DŁUBALSKI. — (nie posiadając się z radosnego wzruszenia) Listy! liściki... listeczki! droga, szanowna pani! (całował raz po raz obie jej ręce) Ja tu jeszcze kiedy... ja tu jeszcze... czy wolno? (patrzył w jej oczy z przymleniem).

MARJA. — (uśmiechając się zyczliwie) Ależ owszem, owszem!

PROF. DŁUBALSKI. — (do Głupowińskiego, który z bezsilną, nieporadną złością patrzył na obdarzonego) No, chodźmy! chodźmy! To trudno. Sameś sobie nawarzył! A mówiłem ci, nie bierz się do nieswojej... (ciągnął go ku drzwiom).

GŁUPOWIŃSKI. — Zmilkniesz profesor, do diabła? także mentor? tfy! (wrzasnął we drzwiach niemal jeszcze, dając folę episjerskiemu sercu).

MARJA. — (spojrzy na Bronisława).

CZYSTOPOLSKI. — (z nadmierną elegancją) Przepraszam panią, to człowiek niekulturalny...

MARJA. — Prawda?...

BRONISŁAW. — (poważnie) A gdzież u nas, proszę pana, ci kulturalni redaktorowie?

CZYSTOPOLSKI. — Mało, bardzo mało... Jak i wydawców (doda znacząco).

BRONISŁAW. — (wracając do kwestji) Marjo! skończyłaś odpis szóstej książki?

MARJA. — Kończę... Tak mię odrywają! Jeszcze kilka kartek (zasiada do pisania).

BRONISŁAW. — (tonem operacji pieniężnych) Tedy, proszę pana, sześć zupełnie gotowych. Rachuję przeciętnie. Tomik trzysta rubli, od tysiąca egzemplarzy.

CZYSTOPOLSKI. — Aj! Aj! trzysta rubli? tomik poezji?... i nawet dramaty? No! kto to kiedy słyszał? trzysta rubli... w biednej Polsce! Aj, aj! aj, aj!

BRONISŁAW. — (zimno, wskazując okiem pochyloną nad biurkiem Marję, w czarnej sukni) Panie wydawco, tu w targi wdawać się conajmniej nie przystoi — pan rozumie... jako jeden z tych niewielu kulturalnych!

CZYSTOPOLSKI. — (ciszej) No, ja wiem... ja doskonale rozumię. Ależ, proszę łaskawego pana, trzeba wejść w położenie wydawcy. To przecie nie dla interesu!... Ktoby tu chciał robić interes?... Na tem jest zawsze pewna strata.

BRONISŁAW. — Jak pan sobie życzy.

CZYSTOPOLSKI. — Ja życzę! ja bardzo sobie życzę! Poezja, proszę pana, „młoda“ poezja — to moja pasja... Ale, proszę łaskawego pana, człowiek solidny to i w pasji musi się cokolwiek liczyć z tem... no! z rzeczywistością... a proszę łaskawego pana, rzeczywistość nasza — to sama proza!... no nie?.. A tu naraz taki kapitał na niepewne, co mówię? na pewną stratę!

BRONISŁAW. — Ja pana nie namawiam, panie Czystopolski.

MARJA. — (obejrzy się niespokojna).

CZYSTOPOLSKI. — (obliczając coś w myśli) Ja wiem, ja wiem. (po chwili) No, to znaczy razem... półtora tysiąca rubli.

BRONISŁAW. — Nie, panie! ściśle, tysiąc ośmset od tysiąca egzemplarzy.

CZYSTOPOLSKI. — Jakto od tysiąca?... to pan chce bić tylko tysiąc?

BRONISŁAW. — Przeciwnie! bić będziemy w pierwszym wydaniu pięć tysięcy.

CZYSTOPOLSKI. — No, właśnie! mniej poprostu nie wypada!... takie go poety! (po chwili z ciężkiem westchnieniem) No, niech ja tym razem zaryzykuję!

MARJA. — (wstając mimowoli) Nareszcie!...

CZYSTOPOLSKI. — (wyjmuje powoli banknoty z obszernego pugilaresu i kładzie paczkę ich na stół przed Bronisławą) Oto osiemnaście stówek i proszę panią o rękopisy.

BRONISŁAW. — Nie, panie: wszystko zgóry!

CZYSTOPOLSKI. — (udał niewinność) Ja daję wszystko.

BRONISŁAW. — Panie wydawco! pan bić chciał przed chwilą nie tysiąc, jeno pięć tysięcy! co wynosi równiutko dziewięć tysięcy rubli.

CZYSTOPOLSKI. — (na dobre śmiać się zaczyna).

MARJA. — (w obawie) Bronku!

BRONISŁAW. — (tonem specjalnym) Co, dziecko? skończyłaś? to dobrze.

CZYSTOPOLSKI. — Przepraszam, pan mówił serjo?

BRONISŁAW. — Najzupełniej!

CZYSTOPOLSKI. — No, ja jeszcze nie zwarjowałem... Niesłychane! niesłychane! (Wstaje powoli, zabierając się do wyjścia) Niema co dłużej mówić.

BRONISŁAW. — (ściągnie ramionami) Tak jest.

MARJA. — (głośniejszym, w strachu) Bronku!

(W tej chwili ktoś zapukał).

BRONISŁAW. — Pukają, przyjmij jeszcze, dziecko!

MARJA. — (nerwowo poszła ku drzwiom, w których ukazał się pompatycznie i z miną pewną Wstrętner, z pliką świeżych gazet pod pachą).

(Rzutem jednym ocenił sytuację i, udając, że nie widzi Czystopolskiego, zwrócił się wprost do Marji).

WSTRETNER. — Mam zaszczyt z panią Ogniską? (rzekł bynajmniej nie tonem pytania) Jestem Wstrętner.

CZYSTOPOLSKI. — (tymczasem już zmienił marszrutę i, miast ku drzwiom, podszedł znów do Bronisławy).

WSTRETNER. — (do Marji, przewracając oczy) Nareszcie, szanowna pani! nareszcie mogę być zwiastunem tryumfu... niestety! nie z naszej winy spóźnionego.

CZYSTOPOLSKI. — (przysłuchując się pilnie mruknieniu) Wstrętny obłudnik!

WSTRETNER. — Oto dowody! (Poda Marji plikę gazet).

MARJA. — (blednąc i rumieniąc się naprzemian) To o nim? o nim? dziękuję! dziękuję! (rozrzuciła nerwowo gazety).

WSTRETNER. — Ach, droga pani! gdybyśmy mogli chociaż w drobnej części powetować!... zresztą, wyznam, nie przychodzę li w charakterze prywatnym, lecz także w imieniu firmy.

CZYSTOPOLSKI. — (w pośpiechu do Bronisławy) No! ja się może zdecyduję! Aj, aj! żeby te piękne rzeczy miały pójść w paskudne ręce!...

WSTRETNER. — A! sześć pięknych tomików! Doskonałe, doskonale, wydamy wytwornie, salonowo...

CZYSTOPOLSKI. — (cicho do Bronisławy) Pt! ich wytworność!... pan wie, jak ja wydaję...

WSTRETNER. — (do Marji) Bijemy zrazu trzy tysiące.

CZYSTOPOLSKI. — (szeptem do Bronisławy) Lis... niech mi pan wierzy, nadbiję drugie tyle pokryjomu. Ja biore pięć odrazu, uczciwie...

WSTRETNER. — (do Marji) Jeszczebym prosił o portrecik, jeśli można...

MARJA. — (w niepewności) Ja nie wiem... pomyślę... ale to chyba później, w ostatnim tomiku...

CZYSTOPOLSKI. — (nagle, niespokojnym tonem) Przepraszam pana, czy tu pani umawia się czy pan?

BRONISŁAW. — (spokojnie) Zarówno.

WSTRETNER. — (zacierając ręce) W ostatnim?... doskonale! to nawet ze wszech miar lepiej! ogłosi się, proszę panią, że ze względów technicznych portret wyjdzie w tomie ostatnim.

CZYSTOPOLSKI. — (szepce do Bronisławy) Widzi pan, on o wszystkim, tylko nie o honorarjum.

WSTRETNER. — (z zadowoleniem) Wybornie! to już wszystko. Służyć mogę pani gotówką natychmiast, jeśli wola.

CZYSTOPOLSKI. — (śpiesznie, sięgając do kieszeni) No, ja się decyduję.

WSTRETNER. — (z elegancją) Nie tyle, wielebym pragnął, ale wiele mogę (sięgnął po porte-feuilles).

CZYSTOPOLSKI. — (nerwowo, nagłąc Bronisławę) Pan pokwituje: oto czek na całą sumę!

BRONISŁAW. — (obejrzawszy papier, podpisuje).

WSTRETNER. — (do Marji) Oto pięć tysięcy.

CZYSTOPOLSKI. — (skwapliwie do Bronisława, sięgając po kwit). Już... ślicznie dziękuję.

MARJA. — Te sprawy, panie wydawco, to już mój brat...

WSTRETNER. — (odwracając się z impetem w stronę Bronisława) A-a!

CZYSTOPOLSKI. — (z ironją) Moje uszanowanie panu wydawcy!

WSTRETNER. — (kiwa protekcyjnie i niechętnie) Dzień dobry! (Idąc do Bronisława i zapominając o przywitaniu) Wedle ugody z panią dobrodziejką nabywam dzieła jej męża za pięć tysięcy rubli dla firmy Wstrętner i Okpisz.

CZYSTOPOLSKI. — (śmiejąc się) Nu, a ja idę z kwitkiem, te-te-te, do paniusi, te-te-te!...

MARJA. — (niewierząc sobie) Naprawdę? naprawdę? Bronku!

WSTRETNER. — (podając Bronisławowi pieniądze) Oto gotówka!

BRONISŁAW. — Bardzo mi przykro, panie wydawco! właśnie przed chwilą przyjąłem już pieniądze od pana Czystopolskiego.

WSTRETNER. — (gniewnie) Taak?... a to powinszować, powinszować (powtarzał, nie mogąc z irytacji trafić do kieszeni surduta, dokąd wsuwał pieniądze, zapomniawszy

o portfelu utrzymanym w lewym ręku) O! nie chcę wcale konkurować...

CZYSTOPOLSKI. — Ja myślę!

WSTRETNER. — (rejteruje ku drzwiom, i ciskając ukosem wściekle spojrzenia w stronę Czystopolskiego) Bardzo, bardzo się cieszę... Moje uszanowanie państwu!

CZYSTOPOLSKI. — (demonstrując pakę rękopisów) Ja także już idę! To możemy razem? (pytał niby dobrodusznie).

WSTRETNER. — (zmierzy go pogardliwie, odwróciwszy się we drzwiach) Razem? a i owszem!... owszem... (Wybiegł prawie, zamykając szczelnie drzwi za sobą).

CZYSTOPOLSKI. — (śmiejąc się) Te-te-te — dobryś! te-te-te... No, żegnam państwa! Dziękuję! Dziś jeszcze maszynę w ruch puścimy! Po co zwlekać, nieprawdaż?... Do widzenia! (Wyszedł, z za progu jednak wrócił) Przepraszam!... korekt proszę nie przetrzymywać! to ogromnie ważne!... ogromnie!...

MARJA. — Nie, nie, oczywiście!...

CZYSTOPOLSKI. — (Wybiegł, unosząc rękopisy).

MARJA. — (Stoi chwilę, jak słup, doszczętnie oszołomiona, a potem porwie się nerwowo, podbiegnie ku drzwiom, zakręci klucz raz i drugi...)

MARJA. — Więcej nikogo! więcej nikogo! (wyszepta i zwiśnie w bezruchu z ręką na klamce).

(Opadła głowa na ramię. Ciało osunęło się wzdłuż drzwi, jak beznerwowy mięsa szmat).

(Zupełny bezwład złuzowanego wreszcie straszego napięcia).

— — — — —
MARJA. — (wyszepta usta bezdźwięcznie) Czy to naprawdę, Bronek?

BRONISŁAW. — (nie słyszał, zajęty stosem owych gazet, dostarczonych przez Wstrętnera. Zawołał wreszcie, nie mogąc się powstrzymać) Ach! co za nonsensy! Ależ reklama, Maryś! Potok huczący! cha-cha-cha-cha!...

Bomby i kartacze! A tom im dojechał! Cha-cha-cha!
Jak im pilno! jak im diabelnie pilno! Widziałaś, jak
leciał z rękopisami? cha-cha-cha-cha...

MARJA. — (zdobywa się nareszcie na siłę okrzyku, odrywając się ode drzwi) I wyda, Bronku! wyda?

BRONISŁAW. — Oho! natychmiast! Czyż nie widzisz?
(pokazał jej czek i osiemnaście stówek na stole).

MARJA. — Wyda? więc mogę powiedzieć?

BRONISŁAW. — Leć! leć!

MARJA. — Bożek! (krzyknie rwącym się głosem i poskoczy ku drzwiom osłoniętym) Bożek!! (wybuchnie łkaniem szczęścia).

(Uniosła się szarpnięta kotara, i stanął we drzwiach, błądy i niespokojny Bogdan).

BOGDAN. — Co ci, kochana? co ci, Maryś? dziecino!

MARJA. — (rzuca mu się na szyję) Bożek! Bożek! Bożek!
(szłocha).

BOGDAN. — No co? no co, maleńka? co?

MARJA. — Niiic... jaaa... tak, Bożek... (starła się uspokoić, i mogła tylko wskazać brata).

BRONISŁAW. — Chodźno tu, Bogdanku! nie mogę tu tego odczytać. (udawał).

BOGDAN. — Pokaż! (zbliży się z Marją w objęciu, do stołu) Co? być nie może?... i to Czystopolski? Cha-cha-cha... A, to ty tego? (zrozumiał nareszcie płacz Marji) tego? śmiesznaśka ty moja!... a nie chciałaś!

MARJA. — Tak się bałam, drogi, caluteńki czas...

BOGDAN. — Biedactwo kochane! A widzisz! A widzisz! Myślałaś, że darmo Słowacki powiedział: „I moje będzie za grobem zwycięstwo“. Za grobem!? cha-cha-cha... Już ja im grób rozwalę... Ale kiedyż wy? kiedyż?

BRONISŁAW. — (radośnie) Dziś, teraz, przed chwilą! Czytaj, jak trąbią! płaczą! dzwonią! cha-cha-cha... żebyś widział, jak się tu dziś zbiegli...

MARJA. — (ze wstrętem) Szakale!

BOGDAN. — (spojrzawszy w gazetę) A to pycha!
(Śmieli się niewstrzymanie, radośnie, szczęśliwie, jak małe, nieznające świata dzieci).

BRONISŁAW. — Dałem im pieprzu, co?

BOGDAN. — Czekaj! Cha-cha-cha... jeszcze nie takie zrobią ślepki, gdy ja im żywy się ukażę! Cha-cha-cha...

MARJA. — Nie, Bożek! nie jeszcze! nie!

BOGDAN. — Śmiesznaśka! nie dzisiaj... ale niechno wszystko wyjdzie, cha-cha-cha... to będzie stypa dopiero!

BRONISŁAW. — Pogańska! cha-cha-cha. Ale wiesz, czegom najbardziej ciekaw... czy i wówczas Koziółkiewicz się wywinie?

BOGDAN. — Cha-cha-cha... Wywinie się? czekaj, czekaj, Bronisko! — myśl nowa... tak! gdy wszystko wyjdzie, słuchaj! puszczamy protest: „Żywcem pogrzebany“!

MARJA. — Nie, Bożek! nie!

BOGDAN. — Dziecko, tak będzie!

BRONISŁAW. — Ależ nikt nie da wiary!

BOGDAN. — Żartujesz, Bron? Na dowód — zebranie... publiczne... olbrzymie, z anonsem, że się pogrzebany sam ukaże...

MARJA. — Nie, Bożek!

BOGDAN. — Że się sam ukaże i przemówi!... Wywinie się, mówisz? cha-cha... — toż będzie zbiegowisko! cha-cha-cha... Nie wiem, czy salę znajdziemy dostateczną...

BRONISŁAW. — O to się nie troszcz.

MARJA. — Nie, nie, Bożek, nie...

BOGDAN. — Ukaże się... czekajcie... ukażę... i powiem.. ach! raz jeden przecie cisnę im w oczy, sam, własnymi usty, słuchajcie! tym grabarzom moim, sam:

Nuże! nuże! hej, kretynki!

Pochwyciwszy w łapy kwacze,

Dalej na ojczyste rynki!

Do dzieła, działacze!
 Każda chwila niesie straty —
 Słyszcie! genjusz pogrzebany
 Śmiał zmartwychwstać! Wleczcie szmaty!
 Oblepiajcie Polski ściany!
 Trza uprzedzić Naród do dnia!
 Nuże! miernoty dobosze!
 Krzyczcie: „Genjusz powstał! zbrodnia!
 Ludzie! pochowajcie grosze!
 Godzi w nas! a przez nas w Naród!
 Myż narodu sól przeczysta...
 Genjusz — Rewolucji zaród!...
 Koniec!... Przyjście Antychrysta“!

Nuże! nuże! dalej sępy!
 Ostrzcie dzioby ścierwożerne!
 Ku mnie! szarpacie serce w strzępy!
 Bądźcie posłannictwu wierne!
 Co? za krótkie macie dzioby?
 Nie zdołacie sięgnąć w serce?
 Ani nawet do wątroby?
 W jakiejż dziś wy poniewierce!...
 Jakżeście litości godne!
 Otom żyw! ja żyw! czujecie?!
 A choć-eście krwi mej głodne,
 Żłopać krwi mej nie zdołacie!
 Hej! mych grzmiących słów wylata
 Rój i smaga was, jak biczem...
 Władni czyściciele świata!
 Wobec t w ó r c y wyście n i c z e m.

Nie sępy wy, lecz koprofagi!
 Nuże! wypełnijcie!
 Pożyczcie krzynekę gdzieś odwagi:
 Na słońce me wejrzyjcie!

Porzućcie gnój, co was oblepia!
 Spójrzcie w słońce twórcze!
 Co? bola was kaprawe ślepią?
 Chwytają strachu skurcze?
 Ha! wolisz nory twe cuchnące,
 Gawiedzi przedajna!
 O, racja twa! niech zginie słońce,
 By trwały plastry łajna!

(KONIEC AKTU CZWARTEGO I OSTATNIEGO).

(KONIEC SCHERZA).

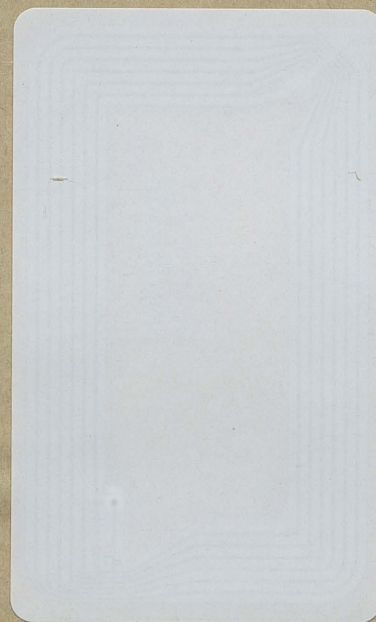
Sobickowa Polana w Tatrach, 1911.



Ø

Fanebrista

Fadelörz



+

9281A

